ŁOWIEC POLSKI



1923 NUMER JUBILEUSZOWY 1948

Z OKAZJI DWUDZIESTOPIĘCIOLECIA POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

LIPIEC – SIERPIEŃ 1948

Nr 7/8 (956/957)

Cena numeru 100 zł.

Koledzy myśliwi!

Odwiedzajcie ,Pawilon Łowiecki na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, lipiec — październik 1948 rok.

Pawilon Łowiecki znajduje się na terenie **B** obok Pawilonu Leśnictwa nad samą Odrą.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 7/8 (956/957) 1948 Lipiec-Sierpień



Michał Żymierski

Protektor Polskiego Związku Łowieckiego
Minister Obrony Narodowej
Marszałek Polski, MICHAŁ ŻYMIERSKI

Rocznica Manifestu

22 lipca 1944 roku

Pierwszym polskim miastem a właściwie małym miasteczkiem oswobodzonym z pod straszliwej okupacji hitlerowskiej przez wojsko Polskie i sprzymierzoną Armię Czerwoną był Chełm.

W tym małym lubelskim miasteczku narodził się Wielki Manifest Lipcowy. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego w dniu 22 lipca 1944 roku, wśród huku dział ofensywy, której celem była Wisła, proklamował prawdziwie postępową, rewolucyjną demokrację, głosił budowę ludowej, uspołecznionej Polski.

Po roku, jakżesz szybko, Manifest przestał już być Manifestem a stał się czynem, reformą i prawem. Na spopielałych gruzach Berlina powiewały biało-czerwone chorągwie Wojska Polskiego, robotnik zakasywał rękawy przy radosnej odbudowie unarodowionych fabryk, chłop orał rolę na nadanych mu parcelach, wreszcie leśnik polski obejmował w opiekę, zniszczone rabunkową gospodarką, wielkie obszary leśne.

Oparta o wytyczne Manifestu krzepła w szybkim tempie władza Narodu, rodził się plan trzyletni.

W planie tym rzeczywistych osiągnięć nie zabrakło żadnego z trybów maszyny jakim jest wielkie gospodarstwo narodowe. To też maszyna państwowa odrodzonej Polski ruszyła i zaczęła nabierać rozpędu.

Nie zabrakło też i na niwie łowieckiej ideowych działaczy, nie zabrakło zapału i chęci do pracy nad poddźwignięciem wzwyż zrujnowanej gospodarki narodowej, jaką stanowi Łowiectwo.

To też liczący dziś przeszło 30.000 członków Polski Związek Łowiecki wznowił już swoją działalność w listopadzie 1944 roku w Lublinie.

Przeprowadzona reforma rolna, przejęcie przez Państwo wszystkich lasów na terenie kraju, jak również zagadnienie gospodarki planowej, postawiły Związek nasz przed nowymi zagadnieniami, zmieniając z gruntu pojęcie samego Łowiectwa.

Dziś Łowiectwo Polskie to bynajmniej nie zabawa możnych, snobów i uprzywilejowanych, Łowiectwo Polskie to poważna gałąź gospodarki narodowej, to droga do przysporzenia Państwu, specjalnie z przebogatych w zwierzynę Ziem Odzyskanych, setek tysięcy kilogramów mięsa, skór i futer dla rynku krajowego, jak również na eksport, to zachowanie zwierza łownego stanowiącego urok Ziemi Ojczystej dla przyszłych pokoleń, to wytchnienie dla człowieka pracy, po trudach dnia codziennego, wśród lasów i pól. Dziś bowiem członkiem naszego Związku jest właśnie człowiek pracy, jest nim robotnik i milicjant, chłop i nauczyciel, urzędnik, generał i minister.

W pracy nad przebudową i odbudową współczesnej Polski jednoczą się dzisiaj w 4-tą rocznicę Manifestu Lipcowego wszystkie siły Narodu. W pracy tej dla dobra gospodarki narodowej nie ustanie też i na swoim odcinku Polski Związek Łowiecki i nie zaprzepaści osiągniętych wyników.

Praca ta o tyle będzie łatwiejsza i wdzięczniejsza, że poraz pierwszy w historii 25-cio letniego istnienia naszego Związku jesteśmy organizacją powszechną, opartą na prawdziwie demokratycznych zasadach a tym samym silną i karną, po raz pierwszy mamy pełne poparcie dla naszych poczynań Władz Rzeczypospolitej, poraz pierwszy całkowite zrozumienie dla wagi Łowiectwa w najszerszych warstwach społeczeństwa.

Dziś z perspektywy lat czterech możemy wyraźnie stwierdzić, że Manifest Lipcowy nie tylko potrafił wskazać nowe drogi dla wielkich i historycznych przemian społecznych, gospodarczych i politycznych, ale również pobudzić ludzi dobrej woli do wytężonej pracy nad tworzeniem zrębów naszego życia współczesnego we wszystkich dziedzinach i na wszystkich choćby pozornie mało ważnych odcinkach.

W wielkim dziele budowania Polski ludowej i demokratycznej niema bowiem odcinków małych i nieważnych, wszystkie które przyczyniają się do odbudowy i przebudowy Polski są wielkie.

REDAKCJA.



ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Winieta tytułowa z r. 1899. Malował Julian Fałat.



Polskiemu Związkowi Łowieckiemu z okazji 25-lecia istnienia życzę dalszego powodzenia w Jego pięknej i bardzo ważnej pracy.

Zwierzyna łowna powinna być nie tylko jednym z największych uroków ziemi polskiej, jak to było niegdyś, ale i jednym z ważnych działów gospodarki narodowej.

Bolesław Podedworny

Minister Leśnictwa

Warszawa 1. VII. 48 r.

25-LECIE POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Jubileusze naogół tyle posiadają istotnej wagi, ile mogą wykazać się pożytkiem publicznym.

Do tej pozytywnej kategorii śmiało można zaliczyć Polski Związek Łowiecki. Ujął on w karby cząstkę życia narodowego — cząstkę, w stosunku do innych skromną, ale organicznie związaną z naszą historią i psychiką.

Łowiectwo polskie istnieje równie dawno, jak istnieje naród Polski. W pierwszych swych etapach zaspakajało elementarne, najpilniejsze potrzeby: dostarczało pożywienia i odzieży.

I wtedy jednak, w owych czasach zamierzchłych,— które odtwarza w swej powieści o Bolesławie Chrobrym, A. Gołubiew,—przed tysiącem lat, łowiectwo nie było li tylko walką o łup. Było także próbą i dowodem siły, zręczności i animuszu rycerskiego, wyładowywały się w nim zuchwałe ambicje. W przepastnych puszczach i moczarach zwierza było bez liku. Broń natomiast była w porównaniu do dzisiejszej — ladajaką. Myśliwy brał grubego zwierza,— a był nim mieszka (niedźwiedź), tur, żubr,— oszczepem, toporem, czekanem, rzadziej — mieczem, który był przywilejem „wojów". Łukiem władał, jakoby tak celnie, że strzałą trafiał większym ptakom w oko...

Łowy nie zawsze kończyły się triumfem myśliwego.

Dowodzi stara przestroga rymowana:
„Łoże bierz na niedźwiedzia, na odyńca—mary,
Kurę śmiele bierz z kojca,—prawił łowiec stary".

Łowiectwo w Polsce było nietylko ulubionym trudem i wysiłkiem. Polował król, magnat, szlachcic—kłusował chłop, że własnej ziemi nie posiadał. Pasji łowieckiej ulegała nawet osoba duchowna. Dawne kroniki wspominają o biskupie Krakowskim, Pawle, myśliwym tak zaciekłym, że gdy Mszę Św. odprawiał, „tedy psi koło niego chodzili i z ptaki przed nim myśliwce stali"...

Mieszczanin Dekiert, kupiec sukienny w Warszawie za panowania Stanisława Augusta — gdy tylko mógł, z fuzyjką za miasto biegł, zapałem myśliwskim i celnością strzałów tak sobie dygnitarzy ujął, że mu później, gdy został prezydentem stolicy, dostęp do Króla ułatwili. Nawet chłopi zyskiwali czasem uprawnienia łowieckie, jak to miało miejsce np. w Puszczy Kurpiowskiej, gdzie bartnictwo i myślistwo stanowiły podstawę bytu ludu puszczańskiego.

Mieliśmy i mamy po kim dziedziczyć to, co dzisiaj zwiemy instynktem łowieckim.

Człowiek pierwotny stanowił poniekąd jedność z przyrodą. Życie nowoczesne zamyka nas w ciasnych i dusznych murach miasta. Niekiedy — w rozwalinach tych miast... Tym większa tęsknota za głębokim oddechem borów, za wolną przestrzenią pól i ługów, za ciszą srebrnych tafli jezior...

W Królestwie Polskim, do połowy XIX stulecia łowiectwo było zdane na dobrą wolę właścicieli terenów. Tu i ówdzie przestrzegano klauzule, regulujące hodowlę zwierzyny. Tym nie mniej jednak w myśl zasady: „Wolnoć Tomku w swoim domku"... — przed 60 — 70 laty niejeden przeciętny ziemianin, gdy dopisywała pogoda, szedł z pieskiem w pole lub do boru, nie licząc się zgoła, lub licząc się mało, czy pora była dla łowów odpowiednia. Z własnej wczesnej młodości pamiętam, jak „pan rządca" w zimową niedzielę, wyruszał sankami w pole, i podjeżdżał zgęszczone w śniegu stada kuropatw. Chwalił sobie, że od jednego strzału kilka sztuk zostawało... W wielu majątkach,— że dziedzic nie był myśliwym — kucharz-myśliwy z przyrodzenia na potrzeby dworu przez okrągły rok bił zające, kuropatwy, dzikie kaczki, gdy tylko potrzeba było mięsa na stół. Zwierzostan w Polsce malał, aczkolwiek kraj nasz genetycznie, z punktu widzenia łowieckiego, był jednym z najbardziej obiecujących w Europie.

Zapoczątkowało pewien ład w łowiectwie powstałe nie bez trudu w Warszawie u schyłku stulecia „Towarzystwo Prawidłowego Polowania".

Ale dopiero Polski Związek Łowiecki wprowadził właściwe porządki, podniósł poziom naszego myślistwa, ustalił należne obyczaje, umocnił honor i powagę łowiectwa, udostępnił je wszystkim warstwom ludności.

Przez dłuższy czas jednak nie doceniano jeszcze jego gospodarczego znaczenia i w tej dziedzinie pozostało wiele do zrobienia. Albowiem łowiectwo jest nietylko rycerską zabawą, w swoim rodzaju sztuką, i pożądanym zbliżeniem do życia przyrody. Jest także, i to w stopniu godnym uwagi, źródłem niemałego dla kraju dochodu.

Łowiectwo nowoczesne winno te wszystkie okoliczności uwzględnić. Jubileusz Polskiego Związku Łowieckiego przypada w dobie wielkich przeobrażeń w naszym ustroju państwowym i społecznym. Znikła z widowni większa własność ziemska, która — w kraju par excellence rolniczym — była jedną z głównych ostoi naszego myślistwa. Łowiectwo obecne musi przystosować się do tych przeobrażeń, musi szukać nowych szlaków. Przed Polskim Związkiem Łowieckim, który zaledwie doszedł do pełnoletności, stoją zagadnienia wysoce poważne i odpowiedzialne.

Że zaś zarówno czynniki Państwowe, jak czołowe koła myśliwskie zdają sobie sprawę z wagi tych problemów —nie należy wątpić, że Związek sprosta swoim zadaniom, że pod jego egidą i kierownictwem Łowiectwo Polskie wejdzie w pomyślną fazę swego dalszego rozwoju.

Stefan Krzywoszewski



Winieta tytułowa z r. 1924. Malował Juljan Fałat

ZBIGNIEW KOWALSKI.

HISTORIA POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

I. 1923 — 1939.

Pierwsza myśl stworzenia jednolitej, wspólnej organizacji łowieckiej, która łączyłaby wszystkie ideowe towarzystwa myśliwskie, działające na terenie Polski, a tym samym wszystkich myśliwych, padła z ust Prof. Janusza Domaniewskiego, delegata Polskiego Towarzystwa Łowieckiego na XX zjeździe Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, w dniu 11 czerwca 1921 r. Zjazd propozycję Prof. Domaniewskiego przyjął rzęsistymi oklaskami.

Pomimo ciepłego przyjęcia sprawa wspólnej organizacji łowieckiej w Państwie nie ujrzała, niestety, zbyt szybko światła dziennego, gdyż dzielnicowe ambicje przewodzenia łowiectwu polskiemu rzucały kłody pod nogi organizatorom. Szczególnie trudne było dojście do porozumienia się z Polskim Związkiem Myśliwych w Poznaniu, który rościł prawa do reprezentacji ogółu polskich myśliwych i godził się jedynie na przystąpienie wszystkich towarzystw i łowców do związku wielkopolskiego. Związek ten wybrał Wielkiego Łowczego w osobie W. Janty-Połczyńskiego, zwoływał „Sejmiki Myśliwskie, występował z memoriałami do naczelnych Władz Państwowych itp.

Nic więc dziwnego, że na zebraniu informacyjnym, zwołanym w dniach 26 i 27.V.1922 r., z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie, w sprawie utworzenia ogólnopolskiej organizacji łowieckiej, w którym brali udział najpoważniejsi myśliwi i towarzystwa z całego Kraju, nie doszło do porozumienia i uzgodnienia stanowiska pomiędzy poszczególnymi grupami dzielnicowymi. Sprawa posunęła się jedynie o tyle naprzód, że projekt statutu, opracowany przez Polskie Towarzystwo Łowieckie w Warszawie, został delegatom doręczony, a nawet częściowo przedyskutowany.

To też przy sposobności „Sejmiku Myśliwskiego", który odbył się 19 czerwca 1922 roku w Poznaniu, wybrano wspólną komisję statutową pod przewodnictwem Antoniego Wysockiego z Warszawy. Komisja miała zaprojektować statut organizacji p. n. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich".

Podobne opory wewnętrzne Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, które hamowały powstanie wszechpolskiej organizacji łowieckiej, zostały wreszcie przełamane na XXI Zjeździe Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dnia 23.VI.1922 r., kiedy to ustalono zasadę powołania „Naczelnego Związku Polskiego Łowiectwa" na zasadach równouprawnienia zawiązujących go poważnych towarzystw łowieckich, towarzystw, mogących wykazać się ideowym i rzeczowym dorobkiem na niwie łowieckiej.

Od chwili przyjęcia tej decyzji, Małopolskie Towarzystwo Łowieckie wzięło czynny udział w pracach Komisji, wnosząc wiele ważnych postulatów do statutu.

W styczniu 1923 r. komisja prace ukończyła. Projekt statutu został przez towarzystwa dziel-

nicowe uzgodniony i podpisany. Jedynie Poznań podpisania projektu statutu odmówił.

Niemniej 9 lipca 1923 roku w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie, przy ul. Nowy Świat 35, odbyło się Walne Zgromadzenie Organizacyjne „Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich".

Zebraniu przewodniczył Antoni Wysocki, asesorami byli Juliusz Bielski i Władysław Woszczatyński, sekretarzował Feliks Różyński.



Pierwszy Prezes P. Z. Ł. Juliusz Bielski

Myśl i praca niewielkiej grupki myśliwych dobrej woli, patrzących w dalszą przyszłość, zaczęły oblekać się w realne kształty.

Spis obecnych na organizacyjnym zebraniu towarzystw i reprezentantów podaję niżej in extenso dla zachowania w historii łowiectwa wspomnienia o tych wszystkich, którym łowiectwo było drogie i bliskie sercu:

1. Małopolskie Towarzystwo Łowieckie: Juliusz Bielski, Cyryl Czarkowski, Edward Krasiński, dr. Kalm-Podowski.
2. Polskie Towarzystwo Łowieckie: Antoni Wysocki, Feliks Różyński, Jan Sztolcman, Władysław Słonczyński.
3. Towarzystwo Myśliwskie Ziem Wschodnich: Bolesław Świętorzecki, Władysław Woszczatyński.
4. Koła Myśliwskie:
   - a) Brześć: Bronisław Kudelski,
   - b) Białystok: Bolesław Kosarzewski, Jerzy Witkowski,
   - c) Zamość: Antoni Sukiennicki,
   - d) Kowel: Cezary Wielhorski,
   - e) Kalisz: Stefan Rydzewski,
   - f) Puławy: Witold Bereza,
   - g) Płock: dr. Bolesław Żenczykowski,
   - h) Rypin: Henryk Jagodziński,
   - i) Warszawskie Wojskowe: kpt. Downar-Zapolski,
   - j) „ Komunalne: Wacław Hermanowski,
   - k) Warszawskie „Jeleń": Bolesław Krysiński.

Przedstawicielem Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych był na Zgromadzeniu Stanisław Gaczeński — referent łowiectwa w Ministerstwie.

Zgromadzenie przyjęło statut „Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich", jak również postanowiło wznowić wydawanie, jako organu oficjalnego Związku, pisma „Łowiec Polski". Pismo miało być wydawane jako dwutygodnik pod redakcją Jana Sztolcmana, a administracją Jerzego Oreńskiego.

Do Zarządu Centralnego Związku na zebraniu organizacyjnym wybrani zostali: prezesem Juliusz Bielski, wiceprezesem Antoni Wysocki, na członków: A. Birar, Budzanowski, C. Czarkowski, F. Drucki-Lubecki, Jaczewski, Dr. J. Kalm-Podoski, E. Krasiński, B. Kosarzewski, A. Kurowski, Krukowski, Krysiński, M. Krasiński, S. Lilpop, J. Łada, A. Mniszek, J. Morstin, gen. T. Rozwadowski, F. Różyński, dr. A. Sander, B. Świętorzecki, K. Świderski, J. Sztolcman, S. Skrzyński, W. Szuprański, A. Sukiennicki, płk. W. Woszczatyński, W. Wielhorski, J. Witkowski, S. Wolski, dr. A. Żenczykowski.

Po zakończeniu wyborów postanowiono wydać odezwę do wszystkich myśliwych, zorganizowanych w kołach łowieckich, nawołującą do gremialnego wstępowania do Centralnego Związku.

Składkę ustalono w wysokości 5% od efektywnych wpływów do kasy danych kółek czy towarzystw łowieckich.

Na pierwszym zebraniu Zarządu dokooptowano (w dniu 7.IX.1923 r.) do władz naczelnych: H. Knothego, W. Szperlinga, W. Słonczyńskiego, którzy wraz z J. Sztolcmanem i S. Lilpopem, jako przewodniczącym, objęli mandaty pierwszego Wydziału Wykonawczego.

Ogólna ilość myśliwych zorganizowana i należąca do Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich wynosiła w r. 1923 ca 1600 osób.

Następną pracą Zarządu, po mianowaniu władz wykonawczych Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, było wybranie komisji dla opracowania projektu nowej ustawy łowieckiej, której celem byłoby położenie kresu chaosowi, powodowanemu przez różne ustawy łowieckie, obowiązujące w każdym z trzech zaborów, jak również opanowanie, panoszącego się kłusownictwa. Komisja po kilku miesiącach wystąpiła do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych z uzasadnionym projektem ustawy.

Komisja występowała w składzie: J. Sztolcman, S. Lilpop, F. Różyński, J. Morstin, notariusz Dąbrowski.

Jak widać z powyższego, bolączki i praca organizacyjna Centralnego Związku, niewiele różniły się od tych trudności i prac, które w 25 lat później, a więc w chwili obecnej ma do pokonania czy wykonania Polski Związek Łowiecki. Projekt nowej ustawy łowieckiej jest też dzisiaj, jak przed ćwierćwieczem, złożony w Minister-

stwie Leśnictwa, a miejmy nadzieję, że ukaże się w Dzienniku Ustaw szybciej, niż w lat cztery, jak miało to miejsce w roku 1927.

Przypomnijmy też w tym miejscu, że w składzie aktualnych władz Polskiego Związku Łowieckiego są czynni jeszcze Koledzy-jubilaci: Herman Knothe, pracujący jako wiceprezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Olsztynie, płk. Downar-Zapolski, członek Komisji Prawniczej oraz Kazimierz Świderski i Włodzimierz Korsak, nadal zasilający swemi cennymi artykułami „Łowca Polskiego". Inni, niestety, których nazwiska zostały wymienione wyżej, spoczywają w pokoju. Większość z nich po należycie spełnionym obowiązku wobec ukochanego Łowiectwa Polskiego. Cześć Ich pamięci!

21 czerwca 1924 r. na następnym z kolei „Sejmiku Myśliwskim" w Poznaniu przyszło wreszcie do połączenia wielkopolskich myśliwych z Centralą.

W ten sposób myśliwi wszystkich dzielnic zostali zcementowani w jedną, świadomą swych zadań organizacją, która stworzyła podwaliny dla rozwoju ideowego łowiectwa w Polsce, i która wytrzymała próbę życia do dnia dzisiejszego.

Nowy, od roku 1924, referent łowiectwa w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych, Włodzimierz Korsak, wiele dopomógł w tworzeniu zrębów organizacyjnych Związku.

W grudniu 1925 roku przystąpiło również do Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, Towarzystwo Łowieckie Zachodniej Małopolski, otrzymując prawo Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na woj. krakowskie. Prezesem został gen. Stiller.

Rok 1927 był dla łowiectwa rokiem przełomowym. Dnia 3 grudnia, po 4 latach oczekiwania, ukazał się nareszcie dekret o prawie łowieckim. Nowa ustawa miała wiele niedociągnięć i błędów, szczególnie w dziale odszkodowań łowieckich i w przemilczeniu roli Związku Łowieckiego w całokształcie gospodarki łowieckiej w Państwie, tem niemniej, ustawa obowiązek swój spełniła dobrze. Jednolite prawo łowieckie i czasy ochronne wprowadziły ład i porządek, a wysokie kary i instytucja strażników łowieckich zahamowały rozwielmożnione kłusownictwo.

Równocześnie stale postępujący rozwój Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich nakazywał przystosowanie statutu do wymogów życia. To też po dwa lata trwających pracach, w czerwcu 1929 roku został uchwalony przez Zjazd Delegatów nowy statut Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Nowy statut wprowadzał delegatów wojewódzkich i powiatowych Związku w terenie, zwoływał Walne Zgromadzenie Związku, a nie Zjazdy Delegatów, zezwalał na przyjmowanie do Związku osób fizycznych oraz wprowadzał, jako organ codziennej pracy Związku, Wydział Wykonawczy, ze specjalnymi uprawnieniami i biurem.

W okresie 1929 — 1936 Polski Związek Ło-



Konferencja w sprawie ustawy łowieckiej w roku 1927.

wiecki cementował się coraz bardziej wewnętrznie, ogarniał swymi zainteresowaniami coraz szersze dziedziny życia łowieckiego, bądź związanego z łowiectwem.

W roku 1931 wszystkie powiaty w Rzeczypospolitej obsadzone już były delegatami Związku, a w szeregu powiatów znajdował się senior delegatów i kilku delegatów, działających na terenie poszczególnych gmin. Ilość kół i towarzystw łowieckich zrzeszonych w Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich wynosiła w tym czasie 101. Ilość członków wahała się w ilości około 3.000 — 4.000 osób. W tym też roku konsultantem łowieckim w Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwoych, został kol. Herman Knothe. Łowiectwo uzyskało właściwe oparcie i poparcie.

Kapituła Odznaczeń Łowieckich nadała w roku 1934 pierwsze odznaczenie łowieckie. Najwyższe odznaczenie „Złom" otrzymali: J. Bielski, H. Knothe, S. Zaborowski i S. Lilpop.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich bierze czynny udział w międzynarodowych organizacjach łowieckich i zjazdach. W kwietniu 1934 roku Conseil International de la Chasse zbiera się na doroczną sesję w Warszawie. Goście zagraniczni wyjeżdżają oczarowani organizacją zjazdu, specjalnym pokazem trofeów łowieckich, oraz kilkudniowymi polowaniami, które Związek urządził po zakończeniu obrad.

Kynologia, zorganizowana przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Związku Hodowców Psa Myśliwskiego, w Setter-Klubie, Pointer-Klubie i klubie Psa Kontynentalnego, została przed samym wybuchem wojny w 1939 roku połączona w obsługującym całą Polskę Kennellklubie Polski i rozwijała się doskonale.

Wystawy, pokazy, liczne próby polowe wiosenne i jesienne, jak również konkursy wyżłów dowodnych, pozwoliły na wyselekcjonowanie odpowiedniego materiału użytkowego. Hodowle takie, jak Splendor, Blackfield, z nad Gopła, z Kujaw, doszły do rezultatów doskonałych. Pies myśliwski w Polsce uzyskał pełne prawa obywatelstwa.

Strzelectwo myśliwskie, kierowane i zorganizowane przez Komisję Główną Strzelectwa Myśliwskiego, przodowało w Europie, zdobywało dla naszych barw mistrzostwa świata, aż wreszcie na zawodach, urządzonych w ramach Olimpiady w 1936 roku w Berlinie, Józef Kiszkurno uzyskał w strzelaniu do rzutków (273% trafionych) miejsce pierwsze i złoty medal.

Wystawy, pokazy trofeów łowieckich, urządzane zarówno w Warszawie, jak i w terenie, cieszyły się wielkim wzięciem u szerokiej publiczności, jak również zainteresowaniem przyrodników i naukowców. Szczególnie wystawa łowiecka na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1929 roku w Poznaniu imponowała rozmiarami (cały pawilon) i doborem eksponatów.

Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Berlinie w roku 1937 potwierdziła bezapelacyjne zwycięstwo Polski, a ilość zdobytych nagród postawiła nasze łowiectwo na czele łowiectwa 51 innych wystawiających państw. Organizatorami wystawy byli kol. A. Śliwiński, T. Sroczyński i H. Knothe.

Jak dziś pamiętam za szybami składu broni J. Sosnowskiego na Krakowskim Przedmieściu rzuconą niedbale na środek wystawy, jako jedyna dekoracja, stertę medali, zdobytych przez poszczególnych polskich wystawców w Berlinie, która zapełniła z łatwością i po brzegi dwa kuferki, specjalnie na ten cel zakupione w Berlinie.

Prace Związku w kierunku uregulowania prawnej strony zagadnień łowieckich, dały też poważne i pozytywne wyniki. Spowodowano wydatne obniżenie podatku od prawa polowania i od psów myśliwskich, uzyskano w Ministerstwie Sprawiedliwości zarządzenia, które nakazywały sądom nakładać za przestępstwa łowieckie kary w wysokości conajmniej połowy górnej granicy kary, przewidzianej w ustawie za dane przestępstwo.

Ponadto opracowano szereg regulaminów, wzorcowych statutów i umów na dzierżawy łowieckie. Współpraca z Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych, oraz z Dyrekcją Naczelną Lasów Państwowych, gdzie konsultantem spraw łowieckich pozostawał Kol. Herman Knothe, układała się pomyślnie, choć Polski Związek Łowiecki nie znajdował u władz tak wyraźnego jak dzisiaj poparcia.

Polskie Radio umieszcza w programach stałe ‚kwadransy łowieckie". Prelegentami są koledzy J. Dylewski, L. Ossowski i M. Pawlikowski.

Druga z kolei podyktowana znów przez życie zmiana statutu, dokonana na Walnym Zgromadzeniu Związku w czerwcu 1936 roku, ustanowiła zasadę, że Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich jest Związkiem osób fizycznych (myśliwych) pod nazwą Polski Związek Łowiecki. Zmiana ta była niezmiernie ważka, liczba członków wzrosła w roku 1937 o 100%, a w roku 1939 wynosiła już ponad 11.000 osób.

Teren zorganizowany został poprzez Rady Wojewódzkie (poza Małopolską, która miała centralę na 3 województwa we Lwowie) i powiatowe mocno i trwale. Łowczowie powiatowi objęli wszystkie powiaty w Państwie. Wybory władz centralnych poprzez Walne Zgromadzenia Powiatowe i Wojewódzkie zapewniły prawdziwie demokratyczny ustrój naszego Związku.

Nie udało się tylko przeprowadzić noweli do ustawy łowieckiej z roku 1927, której domagało się życie i rozrastający się coraz bardziej Polski Związek Łowiecki.

W czasie ostatnich lat przed brzemiennym w wypadki rokiem 1939, prace Polskiego Związku Łowieckiego stawały się coraz bardziej realne, czego zewnętrznym wyrazem była Wystawa Plastyki Polskiej o tematyce łowieckiej w Zachęcie Warszawskiej w roku 1937, rozliczne wydawnictwa, ciekawe audycje radiowe, plakaty propagandowe itp.

„Złom" otrzymali w ciągu ostatnich lat następujący Koledzy: W. Korsak, W. Janta-Połczyński, A. Steinhagen, A. Starzeński, J. Stolcman (pośmiertnie), W. W. Garczyński, W. Słonczyński, B. Świętorzecki, J. Kobylański, T. Komierowski, K. Chłapowski, K. Radziwiłł, W.

Szperling, L. Skulski, K. Fabrycy, J. Łukowicz, M. Pawlikowski, J. Skrzypek.

W latach 1937 — 1939 zmarli wybitni myśliwi, członkowie Rady Naczelnej: Mieczysław Tukałło, Mieczysław Lisowski i viceprezes Bolesław Świętorzecki.

W ślad za nimi z chwilą wybuchu wojny zaczęli się wykruszać dalsi, coraz liczniejsi i w coraz szybszym tempie. Ale tego nikt z nas nawet nie przeczuwał.

II. 1939 — 1944.

W ciągu pierwszych tygodni po kapitulacji Warszawy w roku 1939 zdawało się wszystkim Polakom, że świat wali się w gruzy, że jako dzień dzisiejszy pozostało tylko życie niewolne, a przyszłością i jutrem będzie wyłącznie bezdenna noc. Szybciej jednak, niż można się było spodziewać i przewidywać, apatja zaczęła opuszczać nawet najsłabszych, nadzieja odżywała na nowo w sercach, a chęć do czynu stawała się powszechną.

Wąziutki i jakże mało ważny był nasz odcinek łowiecki w obliczu wielkich przemian światowych, bezwzględnej wojny i hitlerowskiej okupacji. A jednak praca Naczelnej Rady Łowieckiej, działającej w konspiracji, nie poszła na marne. To, żeśmy się tak prędko po wojnie zgromadzili i dobrze zorganizowali, to, że przechowane zostały przez czas zawieruchy niezniszczalne wartości prawidłowego i ideowego łowiectwa — jest zasługą tych, którzy nigdy nie zwątpili w celowość i konieczność pracy dla jednego z bogactw narodowych, którym jest niewątpliwie łowiectwo.

Z początkiem października myśliwi zaczęli ciągnąć na Nowy Świat, by stosownie do warunków kapitulacji składać broń myśliwską do niemieckiego „depozytu". Większa część broni została oddana już w początkach września, na skutek zarządzenia władz Rzeczypospolitej, teraz oddawano resztę.

Myśl o deponowaniu broni w Polskim Związku Łowieckim powstała z tego powodu, iż w czasie I-ej wojny światowej i Beselerowskich rządów w Królestwie, Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa przechował większą część broni swoim członkom i zwrócił ją w roku 1918. Myśliwi sądzili, że jak za czasów pierwszej okupacji niemieckiej w latach 1915 — 1918, będzie można nawet odzyskać broń przed końcem wojny i otrzymać od władz okupacyjnych, jak wtedy „Jagdscheiny".

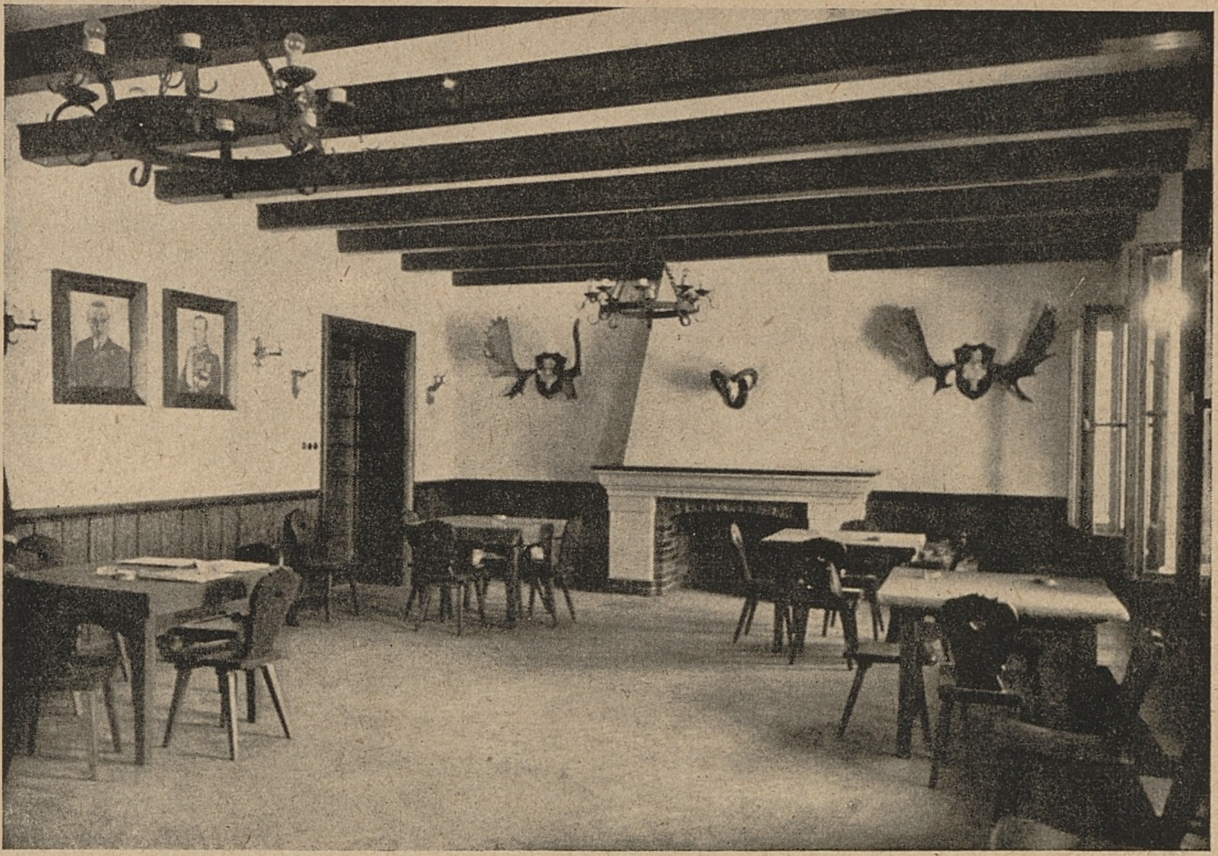
Niestety, nikt nie zdawał sobie sprawy, że okupacja hitlerowskiej „brunatnej zarazy" nie tylko nie uznaje jakichkolwiek przepisów Konwencji Haskiej, czy choćby ludzkich, ale wprowadza nowe, nieznane w historji, własne formy rządzenia w postaci łapanek, blokad, ulicznych egzekucji i obozów wyniszczenia.

Myśliwi łudzili się krótko.

Delegacja, członków Rady Naczelnej, w osobach Komendanta Głównego Straży Obywatelskiej, Janusza Regulskiego i W. W. Garczyń-



Kol. Kol.: Wice przewodniczący Komitetu Wykonawczego Z. Kowalski, Redaktor prof. J. Gieysztor, Wice prezes J. Skrzypek, Prezes gen. B. Szarecki, Wice prezes G. Glowacki, Przewodn. Komit. Wykon. Z. Korolkiewicz.



Sala im. J. Sztolcmana w odbudowanej w roku 1947 siedzibie P.Z.Ł.

skiego, starała się załatwić stronę prawną zdeponowanej w Polskim Związku Łowieckim broni myśliwskiej, oraz sprawę istnienia samego Związku. Ówczesny nadburmistrz Warszawy, Dangel, delegację przyjął w pałacu Blanka i obłudnie obiecywał, iż broń członków Polskiego Związku Łowieckiego pozostanie w stanie nienaruszonym na Nowym Świecie nadal. Opiekę nad zgromadzoną bronią miała sprawować Straż Obywatelska. Część kolegów zapewnieniom tym uwierzyła.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że były nadburmistrz Dangel, znajduje się obecnie w rękach wymiaru sprawiedliwości Rzeczypospolitej, jako jeden ze zbrodniarzy wojennych.

Rzeczywistość w bardzo szybkim czasie otworzyła oczy kolegom.

Na Nowy Świat zaczęli się naprzód zgłaszać pojedyńczy oficerowie niemieccy i pomimo oporu Straży Obywatelskiej, jak pisze w swych wspomnieniach z tego okresu Kol. Świderski „... dla polowania na kuropatwy pożyczali po parę sztuk broni, nigdy jej nie zwracając".

Po kilku następnych dniach cała broń myśliwska została zgromadzona w lokalu Warszawskiej Spółki Myśliwskiej na ul. Królewskiej, załadowana na samochody i wywieziona. Kol. Stanisław Czerski, współpracownik ówczesny Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, który asystował przy tej operacji, opowiada, iż najpiękniejszą i najkosztowniejszą broń żołnierze niemieccy brali całymi naręczami, jak tyczki ogrodowe z szaf, i pęczkami rzucali z góry na samochody.

Równocześnie ogólne zarządzenie dla G. G. zamknęło wszystkie polskie związki i stowarzyszenia, konfiskując zarazem ich mienie, archiwa, biblioteki itp.

W ostatniej chwili kilku członków Polskiego Związku Łowieckiego, narażając się na najgorsze, zaczęło wynosić z naszego lokalu na Nowym Świecie cenne pamiątki. Byli to Kol. Kol.: J. Gieysztor, J. Skrzypek, inż. H. Knothe, J. Bokiewicz, i M. Mniszek Tchorznicki. Rogi żubra, uratowane przez tego ostatniego, zdobią dzisiaj naszą główną salę w odbudowanej siedzibie Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie.

Z początkiem grudnia lokal Polskiego Związku został wydzierżawiony przedsiębiorstwom restauracyjnym, a następnie stał się czysto niemieckim lokalem p. n. „Diana", w którym wódka i przekąska stanowiły nie największą atrakcję dla bywających tam urlopowanych żołnierzy czy funkcjonariuszy niemieckiej administracji cywilnej.

Smutny los spotkał siedzibę Polskiego Związku Łowieckiego.

Myśliwi jednak, jako grupa specjalnie żywotna, choć Nowy Świat — „Nur für Deutsche" — został dla nich zamknięty, postanowili nie tracić ze sobą kontaktu i krzepić się w chwilach złych, wspomnieniami z łowów i przeżyciami spędzonych wspólnie chwil.

To też pierwsze zebrania członków Rady Naczelnej Łowieckiej były zebraniami czysto towarzyskiemi. Pierwsze miało miejsce w wigilię 24.XII.1939 roku. Od tego czasu zebrania odby-

wały się co pewien czas u poszczególnych kolegów w ich mieszkaniach prywatnych.

Powoli jednak zebrania towarzyskie zaczęły się przeradzać w systematyczne posiedzenia Rady Naczelnej Polskiego Związku Łowieckiego i kiedy ruszyła jako tako komunikacja pocztowa i kolejowa został przesłany do łowczych powiatowych Polskiego Związku Łowieckiego w-g adresów podanych w ostatnim kalendarzu myśliwskim z roku 1939, naturalnie tylko w ograniczonym zasięgu G. G., niewinnie zredagowany list w formie prywatnej korespondencji z zapytaniem, o stan zwierzyny, członków Polskiego Związku Łowieckiego i inne związane z łowiectwem sprawy. Tu na chwilę oddam znów głos Kol. Świderskiemu, który we wspomnieniach swych pisze: „Rezultat tego poczynania, jak na owe stosunki był zdumiewająco dodatni. Uderzał ogólny entuzjazm odpisujących, wywołany wiadomością, że oto Polski Związek Łowiecki dał znak życia. Wszystkie prawie odpowiedzi były wyrazem radości z tego powodu. Brzmiały te wieści bardzo różnie, jedynie, gdy chodziło o stan kuropatw, jednako posępnie. Dwie, jedna po drugiej zimy 1939/40 i 1940/41 były wyjątkowo srogie i kuropatwy w całym kraju wyginęły prawie zupełnie. Podany stan zajęcy i dzików był różny, miejscami nawet dobry."

Tak pozytywny oddźwięk spowodował, że Rada Naczelna zaczęła od początku 1942 roku zbierać się regularnie co środę po 1 i 15 każdego miesięca.

Zebrania te odbywały się w mieszkaniach prywatnych członków Rady. Pamiętam jedno z nich, które odbywało się u Kol. H. Knothego. W czasie debat zostaliśmy poderwani nagle z krzeseł głosem znanej dobrze w Warszawie syreny alarmowej, używanej przez niemieckie auta policyjne. Krótkie spojrzenie na okno na ul. Piusa zorientowało nas, „oblatanych" w łapankach, że ulica jest już ze wszystkich stron zamknięta kordonem zielonej żandarmerii. Z rezygnacją oczekiwaliśmy co będzie dalej. Tymczasem rozległy się salwy i krzyki. To odbywała się pierwsza z ulicznych egzekucji na ul. Piusa, tuż obok dawnej ambasady Rzeszy Niemieckiej.

Pierwsze kwiaty na splamionym krwią chodniku i murze złożyliśmy we dwóch, wychodząc z tego zebrania. W dziesięć minut później innych, którzy gremialnie już przychodzili z wiązankami, zabierano prosto z ulicy na Pawiak.

Kol. H. Knothe ciężko odchorował to, co musiał widzieć wtedy przez okno swego mieszkania.

W roku 1943 rozpoczęto stałą już pracę, dokooptowując do Rady Kol. Kol.: Z. Kowalskiego, A. Tallen-Wilczewskiego, W. Ocetkiewicza i J. Zaborowskiego i przydzielając poszczególne działy powołanym specjalnie w tym celu komisjom, którymi były: Komisja strat wojennych, poniesionych przez łowiectwo, Komisja prawnicza dla opracowania nowej ustawy łowieckiej, ewentualnie nowelizacji starej, oraz Komisja piśmiennictwa łowieckiego.

1. Komisja Strat wojennych pod przewodnictwem Kol. A. Tallen Wilczewskiego rozpoczęła żmudne zbieranie danych, z których zestawiła straty w łowiectwie, spowodowane przez niemieckiego okupanta w Polsce, jak niżej:

I.	Zabrana broń i amunicja:	
	a) broń myśliwska	zł. 50.000.000
	b) amunicja	„ 2.000.000
II.	Straty poniesione przez właścicieli sklepów z bronią i amunicją i przyborami myśliwskimi	„ 100.000.000
III.	Straty wytwórni amunicji i prochu	„ 20.000.000
IV.	Straty w psach myśliwskich	„ 2.500.000
V.	Straty w bibliotekach myśliwskich	„ 5.000.000
VI.	Straty w trofeach myśliwskich	„ 5.000.000
VII.	Straty w tenutach dzierżawnych za tereny łowieckie	„ 37.000.000
VIII.	Straty w ubitej zwierzynie przez okupanta	„ 90.000.000
IX.	Straty w zwierzostanie	„ 20.000.000
	razem	332.330.000

złotych w złocie z 1939 roku.

2. Komisja prawnicza pod przewodnictwem Kol. J. Zaborowskiego opracowała projekt nowej ustawy łowieckiej, oraz przepisy przejściowe w sprawch łowieckich, które miały być ogłoszone przez odnośne władze z chwilą odzyskania niepodległości. Komisja zaprojektowała też nowy statut Polskiego Związku Łowieckiego. Zarówno projekt statutu Polskiego Związku Łowieckiego, jak i ustawy łowieckiej, przystosowane do idących nowych demokratycznych czasów, były dziełem przede wszystkim W. W. Garczyńskiego, następnie rozwiniętym i podanym w ostatecznej formie przez Kol. Kol.: F. Soboczyńskiego, J. Zaborowskiego i W. Ocetkiewicza. Wytyczne przedyskutowane wtedy stały się kanwą, na której zbudowano w 5 lat później uchwalony ostatecznie przez Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 26.X.1947 r. projekt nowego prawa łowieckiego.

3. Komisja piśmiennictwa łowieckiego ułatwiała autorom pracę, gromadziła rękopisy oraz przygotowywała podręczniki do egzaminów, które mogły być wprowadzone w przyszłości w myśl nowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego jako obowiązujące. Kol. J. Gieysztor opracował „Podstawy łowiectwa", Kol. Z. Kowalski „Bezpieczeństwo na polowaniu i obchodzenie się z bronią", Kol. J. Dunajewski „Ornitologię łowiecką".

Pozatym zebrano szereg prac do późniejszego wydania, jak M. M. Tchorznickiego „Oologia ptaków łownych" i „Zielonogłowy", Z. Kowalskiego „Dziennik myśliwski", W. W. Garczyńskiego „Nowoczesne łowiectwo", T. Śliwińskiego „Jeleń", K. Świderskiego „Hodowla bażantów" (tłumaczenie ze Schwerina) i szereg innych. Rada Naczelna rozpoczęła też zbieranie danych—co stanowiło obszerny tom—o bestjal-

stwach Niemców w stosunku do członków Polskiego Związku Łowieckiego i kultury łowieckiej, jak również o szeregu haniebnych wyczynów niemieckich myśliwych (!), którzy potrafili naprzykład strzelać śrutem w kotle do zabłąkanych tam przypadkowo Żydów.

Część prac beletrystycznych i naukowych została wydana przez Polski Związek Łowiecki po zakończeniu wojny, bądź opublikowana w „Łowcu Polskim", część zaginęła w zawierusze powstania, część czeka jeszcze na wydanie.

W takim stanie organizacyjnym zaskoczyło Radę Naczelną powstanie warszawskie.

III. 1944 — 1945.

1.VIII.1944 — 30.IV.1945.

Skupieni wokół, pracującej w konspiracji, Rady Naczelnej Koledzy przetrwali jakoś szczęśliwie poprzez mrok 6-letniej okupacji, poprzez łapanki i aresztowania. Przetrwali i mogli się zbierać aż do końca lipca 1944 roku.

Dopiero straszliwa burza powstania warszawskiego rozproszyła członków tej ostatniej komórki łowieckiej prawie po całym świecie. Nieliczni, którzy nie zostali wywiezieni, zbierali się powoli, po kilku w Częstochowie, Krakowie i Milanówku. Niestało też wielu.

Polegli w czasie działań wojennych, zostali zamęczeni w obozach koncentracyjnych bądź rozstrzelani następujący członkowie Rady Naczelnej Polskiego Związku Łowieckiego: Juliusz Bielski, Konstanty Chłapowski, Józef Krauze, Tomasz Komierowski, Kazimierz Kamieński, J. Pierożyński, Leopold Skulski, Olgierd Stetkiewicz, Wacław Szperling. Zmarli: W. W. Garczyński, Bohdan Gędziorowski. Z Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego": Adam Rzewuski, Witold Kiltynowicz, Antoni Ossendowski. Z Komisji Rewizyjnej zginął w Mathausen Andrzej Gdowski i zmarł Ignacy Gryminski.

W międzyczasie, w okresie kiedy Warszawa stanowiła bezludną i księżycowo martwą pustynię, dopalaną przez Niemców, grupa osiadłych w Lublinie myśliwych, dawnych członków Polskiego Związku Łowieckiego, zaczęła przemyśliwać, na tym pierwszym skrawku uwolnionej od niemieckiego okupanta ziemi, o wskrzeszeniu naszej organizacji łowieckiej.

Dnia 5 listopada 1944 roku odbyło się, z inicjatywy Kol. Janusza Stelińskiego, zebranie, bawiących w Lublinie członków Polskiego Związku Łowieckiego, na którym powołano Komisję Organizacyjną w składzie: J. Steliński, W. Kokoszyński, Z. Chmielewski, B. Duda, J. Osiński, L. Radliński i Z. Rychlicki

Pierwszą pracą Komisji Organizacyjnej było uzyskanie od Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych zatwierdzenia, bez zmian zresztą, dotychczasowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego, który następnie w dniu 25 stycznia 1945 roku, zarejestrowano ponownie u Władz Wojewódzkich w Lublinie.

Po zatwierdzeniu statutu ukonstytuował się tymczasowy Zarząd Polskiego Związku Łowieckiego w składzie następującym:

Prezes	Janusz Steliński,
I Viceprezes	A. Salnicki,
II Viceprezes	Fr. Kryński,
Sekretarz	L. Radliński,

oraz członkowie W. Morawski i I. Korczyński.

Tymczasowy Zarząd wystąpił do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z projektem noweli do ustawy łowieckiej. Głównymi uzupełnianiami ustawy, który ten projekt poruszał, były przymusowość zrzeszenia wszystkich myśliwych w Polskim Związku Łowieckim oraz zwiększenie powierzchni (ha) rejestrowanych obwodów łowieckich.

Zarząd nawiązał również kontakt z terenem i powołał do życia pierwsze tymczasowe Rady Wojewódzkie w Radomiu (dla województwa Kieleckiego) i w Poznaniu.

1.V.1945 — 31.XII.1945.

W pierwszych miesiącach 1945 roku w sercach szeregu myśliwych warszawskich, między którymi kołatało się jeszcze kilku Kolegów z Rady Naczelnej, zaczęła znów kiełkować myśl reaktywowania Polskiego Związku Łowieckiego w Stolicy. O powstaniu Tymczasowego Zarządu Polskiego Związku Łowieckiego w Lublinie nikt w owym czasie z kolegów, przebywających w Warszawie nie wiedział.

W tym miejscu należy podnieść i podkreślić niespożyte siły i młodzieńczą energię Kol. Józefa Skrzypka, który był inicjatorem pierwszego zebrania myśliwych w Warszawie, który na te zebrania, a później na lokal Związkowy ofiarował bezinteresownie swoje mieszkanie, który wtedy, kiedy nikt z nas jeszcze nie myślał nawet o podjęciu pracy w Polskim Związku Łowieckim, już pisał memoriały do BOS-u o przyznanie spalonego budynku dla odbudowania go na Dom Łowiecki.

W dniu 19 maja 1945 r., a więc w dziesięć dni po zakończeniu wojny, na ul. Miedzianej 4a, zebrało się 7 Kolegów, a mianowicie: B. Bartkiewicz, K. Czampe, K. Jakimowicz, Z. Kobielski, Z. Kowalski i J. Skrzypek. Zebranie odbyło się pod przewodnictwem Kol. J. Skrzypka i postanowiło nawiązać kontakt z Zarządem Tymczasowym Polskiego Związku Łowieckiego, o którego zawiązaniu nadeszły mgliste wiadomości. W tym celu do Lublina delegowano Kol. Z. Kowalskiego. Po otrzymaniu sprawozdania z wyjazdu projektowaliśmy przystąpić wraz z kolegami z Lublina do wspólnej pracy nad odbudową Związku.

O reaktywowaniu prac Polskiego Związku Łowieckiego postanowiono dać ogłoszenie do „Życia Warszawy", najpoczytniejszego wtedy pisma stolicy. Skierowano też prośbę do „Polskiego Radia" o wzmiankę w audycjach, podając adresy Związku w Lublinie i w Warszawie.

Apel, szczególnie nadany przez radio, dał wybitnie dobre rezultaty, to też następne zebranie zwołane w dniu 29.V.1945 r. odbyło się w obecności 26 Kolegów członków Polskiego Związku Łowieckiego i winno być uważane za dzień roz-

poczęcia prac Polskiego Związku Łowieckiego po wojnie w Warszawie.

Obecni na tym zebraniu byli:

Z Naczelnej Rady Łowieckiej: Z. Kowalski, J. Regulski, K. Świderski, J. Skrzypek, A. Tallen Wilczewski, J. Zaborowski.

oraz Kol. Kol.: B. Bartkiewicz, K. Czampe, A. Grajnert, I. Gsymiński, S. Hahn, K. Jakimowicz, J. Kieffer, A. Kellus, gen. W. Nowodworski, J. Pętkowski, S. Szybalski, T. Szol, S. Szydłowski, K. Tołłoczko, S. Wójcicki, Z. Zabłocki, Z. Zabiełło, B. Zinserling, W. Ziegienhirte, F. Żugajewicz.

Na następnym zebraniu Kol. Świderski zapoznał obecnych z działalnością Naczelnej Rady w czasie okupacji, a Kol. Z. Kowalski zdał sprawozdanie z nawiązanego kontaktu z Zarządem Tymczasowym w Lublinie.

Po dyskusji postanowiono wystąpić do lubelskiego Zarządu z wnioskiem o przeniesienie siedziby tymczasowych władz Związku do Warszawy i dokompletowania lubelskiego składu Zarządu członkami Rady Naczelnej, to jest Kol.: J. Regulskim, J. Zaborowskim, Z. Kowalskim, J. Skrzypkiem, K. Świderskim oraz gen. W. Nowodworskim.

Wysokość składki członkowskiej Polskiego Związku Łowieckiego na rok 1945 — zł. 120 dla członków zwyczajnych i 30 zł. dla leśników, — ustalonej przez Zarząd w Lublinie zebrani przyjęli do wiadomości, postanowili też wystąpić z prośbą do Marszałka Polski Michała Żymierskiego, ażeby organa wojskowe przyczyniły się do ochrony zwierzostanów w Polsce.

W ostatnim punkcie porządku obrad wybrano Warszawską Wojewódzką Radę Łowiecką pod przewodnictwem Kol. Zbigniewa Zabłockiego.

Dla wykonania uchwał powziętych na zebraniu wyjechali do Lublina Kol. Kol.: J. Regulski, K. Świderski i Z. Kowalski.

Jak dziś pamiętam tą wielogodzinną podróż towarowym wagonem do Dęblina, gdzie zatrzymały nas przerwane tory kolejowe, potem długi marsz pieszy szosą Dęblin — Ryki, a następnie wariacka jazda do Lublina ciężarowym Studebeckerem na beczkach benzyny i z pijanym zupełnie szoferem przy kierownicy.

Wspólna konferencja z członkami Tymczasowego Zarządu odbyła się w lokalu Dyrekcji Lasów Państwowych w dniu 24 czerwca 1945 r. w obecności Kol.: J. Stelińskiego, A. Salnickiego, L. Radlińskiego, Fr. Kryńskiego i delegatów z Warszawy. Konferencja, kierując się dobrem łowiectwa, zatwierdziła w całej rozciągłości postulaty zebrania warszawskiego z dnia 29.V.1945 r.



M. Gierymski *Polowanie w lesie*

W myśl osiągniętego porozumienia Zarząd Tymczasowy, pozostając w dalszym ciągu pod prezesurą J. Stelińskiego, został przeniesiony do Stolicy. Kol. Regulski objął funkcję urzędującego wiceprezesa w Warszawie, a Kol. J. Gieysztor, jako ostatni przewodniczący przedwojenny Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego, kierownictwo biura i prac bieżących Związku.

Tak zreorganizowany Zarząd Tymczasowy umiejscowił się w odstąpionym przez Kol. J. Skrzypka jednym pokoju przy ul. Miedzianej 4a i przystąpił do codziennej pracy.

Pierwszymi sukcesami jeszcze w lecie 1945 r. w wyniku złożonej Ministrowi Tkaczowowi wizyty, stało się uzyskanie od Ministerstwa Leśnictwa subwencji w kwocie 50.000 zł., oraz wydanie przez Marszałka Polski Michała Żymierskiego rozkazu nr. 148 z dn. 12 lipca, Ministra Bezpieczeństwa Publicznego Ministra Radkiewicza nr. 47 z dn. 18 sierpnia, jak również generała Witolda, Komendanta Głównego Milicji Obywatelskiej nr. 131 z dnia 30 sierpnia, regulujących zgodne z prawem wykonywanie polowania przez Wojsko Polskie, funkcjonariuszy Urzędów Bezpieczeństwa i Milicję Obywatelską.

W tym samym czasie delegowani do Łodzi Kol. J. Regulski i Z. Kowalski, zawiązali kontakt z Wydziałem Łowieckim Ministerstwa Leśnictwa. Kontakt ten przerodził się następnie w okresowe stałe konferencje.

W nieobsadzonych jeszcze województwach zostali mianowani Łowczowie Wojewódzcy, tak, że na dzień Patrona Myśliwych, można było zwołać pierwsze po wojnie Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego dla zalegalizowania powstałych samorzutnie władz, oraz ponownego zetknięcia się bądź poznania ze sobą kolegów.

Rad Wojewódzkich było w tym czasie czynnych 14-cie, a to: Białostocka, Dolno-Śląska, Gdańska, Kielecka (z siedzibą w Radomiu), Krakowska, Lubelska, Łódzka, Mazurska, Pomorska, Poznańska, Rzeszowska, Śląsko-Dąbrowska, Warszawska i Zachodnio-Pomorska.

Dla nawiązania kontaktu z terenem zaczęto wydawać „Biuletyn Informacyjny Łowca Polskiego" pod redakcją J. Gieysztora. Biuletyn odbijano na powielaczu.

3 listopada 1945 r. odbyło się w lokalu Związku Przemysłowców Budowlanych, pierwsze po wojnie Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego. Delegaci terenowi ze wszystkich stron Polski, przeważnie długoletni działacze na niwie ideowego łowiectwa, stawili się licznie, raz jeszcze dokumentując, że więź łowiecka i Związkowa, łącząca całą brać myśliwską, jest nierozerwalna.

Na Walnym Zgromadzeniu wybrano władze Polskiego Związku Łowieckiego, w składzie następującym:

Prezes	J. Steliński,
Viceprezesi	J. Gieysztor,
	Gen. W. Nowodworski,
	J. Regulski,
	J. Skrzypek,
	F. Soboczyński.

Rada Naczelna: E. Bertold, S. Czerski, S. Jenke, H. Knothe, Z. Kowalski, Z. Korolkiewicz, Nowicki, W. Ocetkiewicz, Gen. B. Olbrycht, J. Ostrowski, J. Pętkowski, A. Tallen-Wilczewski, M. Mniszek Tchorznicki, Z. Zabłocki, J. Zaborowski.

Kapituła Odznaczeń Łowieckich: przewodniczący inż. Herman Knothe, zastępca przewodniczącego J. Skrzypek i sekretarz A. Tallen Wilczewski.

Godność członków honorowych Polskiego Związku Łowieckiego otrzymali na tym zebraniu Kol. Kol. H. Knothe i W. Korsak.

Na zakończenie obrad Walnego Zgromadzenia wysłano depesze do Prezydenta Bolesława Bieruta i Ministra Leśnictwa Stanisława Tkaczowa.

Po zamknięciu obrad Kapituła Odznaczeń Łowieckich nadała pierwsze po wojnie odznaczenia łowieckie, a mianowicie: Kol. Kol.: Z. Kowalski i E. Frankiewicz otrzymali złote medale zasługi łowieckiej.

Rada Naczelna na krótkim posiedzeniu odbytym bezpośrednio po Walnym Zgromadzeniu wybrała Komitet Wykonawczy w składzie:

Przewodniczący	Z. Kowalski,
Viceprzewodniczący	A. Tallen Wilczewski,
Sekretarze:	J. Nowicki,
	W. Ocetkiewicz,
Ref. Łow.	Z. Korolkiewicz,
Skarbnik:	M. Mniszek Tchorznicki,
Członkowie:	S. Czerski,
	Z. Zabłocki.

Prezesem Sądu Łowieckiego został mianowany Kol. K. Świderski.

4.XI.1945 — 31.XII.1946.

Po Walnym Zgromadzeniu praca potoczyła się zwykłym trybem. Sekretarzem biura Związku został Kol. M. Mniszek Tchorznicki, przyjęto też pierwszą siłę biurową — maszynistkę.

Po szeregu Konferencji, odbytych w Ministerstwie Leśnictwa w Łodzi, złożony projekt nowelizacji prawa łowieckiego przez delegatów Komitetu Wykonawczego na ręce Dyr. Dep. V w Ministerstwie Leśnictwa, K. Pasternaka.

Złożono też memoriał do biura rewindykacji w sprawie zwrotu broni myśliwskiej, zabranej przez Niemców polskim łowcom. Memoriał ten dał efekt po upływie półtora roku i dziś w Spółdzielni „Jedność Łowiecka" myśliwi—członkowie Polskiego Związku Łowieckiego mają możność zaopatrzenia się w nowe dubeltówki, otrzymane w drodze reparacji z Niemiec.

Powstała też pod przewodnictwem gen. W. Nowodworskiego pierwsza komisja przy Komitecie Wykonawczym, a mianowicie kynologiczna.

W terenie coraz bardziej rozbudowywał się aparat Polskiego Związku Łowieckiego.

Specjalna delegacja zaprosiła na członka Polskiego Związku Łowieckiego Marszałka Polski, Michała Żymierskiego, który członkostwo raczył przyjąć.

Na zakończenie sprawozdania z roku 1945 po-

zwolę sobie zacytować następujące wspomnienie:

Późną jesienią, większa grupa myśliwych z pośród władz naczelnych Polskiego Związku Łowieckiego mogła się pochwalić posiadaniem pozwoleń na broń myśliwską. To też Łowczy Powiatowy powiatu Błonie, Kol. Zajączkowski, zaprosił nas na polowanie na pędzone kaczki na stawach rybnych pod Grodziskiem. W jak wesołym i pełnym wzruszenia nastroju jechaliśmy na te pierwsze po wojnie łowy, nie potrzebuję chyba powtarzać.

Kiedy przed rozpoczęciem pierwszego miotu rozstawiliśmy się na grobli, nasz z duszy i serca działacz łowiecki, a wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego, Józef Skrzypek, głęboko przejęty tą pierwszą wycieczką myśliwską, ukląkł, schylił się i ucałował ziemię.

Czyż ten odruch, w swojej prostocie niezapomniany nie mówi więcej, niż całe zapisane strony o duszy prawdziwego polskiego myśliwego.



Posiedzenie Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego.

Rok 1946.

Rok 1946 zaczęliśmy w nader trudnych warunkach mieszkaniowych i komunikacyjnych. W pokoiku na Miedzianej robiło się coraz ciaśniej, coraz więcej przybywało interesantów i pracujących w Polskim Związku Łowieckim kolegów. Przyjazd na zebranie czy urzędowanie do lokalu Związkowego, nie tylko z Milanówka, Podkowy Leśnej czy Konstancina, gdzie większość tych właśnie kolegów zamieszkiwała, ale z Pragi, stanowił cały, trudny do rozwiązania, problem. Większą część drogi trzeba było bowiem przebywać na piechotę, lub na rowerze. Elektrycznego światła nie było jeszcze, pracowaliśmy przy świeczkach.

Niemniej praca zaczynała się poruszać naprzód raźno. W marcu ukazał się pierwszy (935) numer, wskrzeszonego na nowo, organu oficjalnego Polskiego Związku Łowieckiego „Łowca Polskiego", pod redakcją, podobnie jak i „Biuletyn", Prof. J. Gieysztora.

Uzyskano następnie zatwierdzenie przez Ministra Bezpieczeństwa Publicznego wzoru zaświadczeń, które, wzamian niewydawanych jeszcze kart łowieckich, miały być honorowane przez Wojewódzkie Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego, jako surogat tych właśnie kart łowieckich.

Opracowano też szereg regulaminów dla Łowczych i Podłowczych, instrukcję egzaminacyjną polowań oraz wzorowy statut kółek łowieckich..

Rada Naczelna na posiedzeniu w dniu 24.III. 1946 uchwaliła również projekt terminarza czasów ochronnych na rok 1946/47 (1.V.—30 IV).

W marcu i kwietniu 1946 r., stosownie do statutu, zaczęły się odbywać w całej Polsce, a nawet na Ziemiach Odzyskanych, pierwsze zebrania powiatowe i wojewódzkie Polskiego Związku Łowieckiego, tak, że zwołane na czerwiec 1946 r. Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego, miało się już stać pełnoprawnym zgromadzeniem. Delegaci wojewódzcy byli bowiem zgodnie ze statutem wybrani przez delegatów powiatowych na poszczególnych Walnych Zgromadzeniach Wojewódzkich. •

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego odbyło się dnia 26.VI.1946 w Hubertówce pod Otwockiem, w siedzibie najstarszego w okręgu Warszawskim Kółka Łowieckiego im. Św. Huberta, przy udziale delegatów z 11 województw i członków Rady Naczelnej. Obecni też byli: przedstawiciel Marszałka Polski, płk. St. Łętowski, oraz przedstawiciele Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, jak również Ministerstwa Leśnictwa. Walne Zgromadzenie uchwaliło podwyższyć składkę na rok 1946 do wysokości 400 zł. od członka zwyczajnego oraz 200 zł. od członka ulgowego (Leśników, studentów).

Prezesem został wybrany Gen. Dr. Bolesław Szarecki, jeden z najstarszych wiekiem i najpoważniejszych doświadczeniem polskich myśliwych, światowej sławy chirurg, bohater z pod Monte Cassino. Do Rady Naczelnej weszli poza tym: prezes E. Bertołd, K. Cybulski, K. Humiński, M. Nowak, W. Mrugasiewicz i Gen. dyw. S. Mossor.

Dla zaopatrzenia członków Polskiego Związku Łowieckiego w broń i amunicję, Zgromadzenie zaakceptowało założenie przy Związku Spółdzielni „Jedność Łowiecka", z oddziałami narazie w Warszawie i Poznaniu. Została też uchwalona niezmiernie doniosła zasada, że „Łowiec Polski" jest premią dla członków Polskiego Związku Łowieckiego, a prenumerata pisma jest już opłacana w składce.

Kapituła Odznaczeń nadała pierwsze po wojnie najwyższe odznaczenie łowieckie „Złom" Kolegom, którzy od wielu lat pracowali na polu ideowego łowiectwa. „Złom" otrzymali Kol. Kol.: S. Cenkier, J. Gieysztor, A. Lardemer, W. Nowodworski, J. Regulski, E. Schechtel, M. Mniszek Tchorznicki, Przewodniczący Państwowej Rady Ochrony Przyrody prof. W. Szafer oraz A. Tallen Wilczewski. Ponadto przyznano szereg medali: złotych, srebrnych i bronzowych.

Po zebraniu w Domku Myśliwskim w Hubertówce, posiadającym 60-letnie tradycje łowieckie, odbyła się wspólna biesiada w przemiłym i prawdziwie koleżeńskim nastroju.

Wobec podniesienia składki członkowskiej i uzyskania potrzebnych funduszów na prowadzenie biura, działalność Związku zaczęła posuwać się szybko naprzód.

Uzyskano rozkaz Komendanta Głównego M.O. o obowiązku współdziałania Milicji Obywatelskiej w zwalczaniu kłusownictwa. Spowodowano wydanie przez Ministerstwo Administracji Publicznej okólnika o obniżeniu podatku od psów myśliwskich oraz uzyskano zarządzenie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego o zezwoleniu na rejestrację kółek myśliwskich.

Komitet Wykonawczy wydał też jako odbitki z „Łowca Polskiego" 4-ry prace. Broszury te rozchwytane zostały w ciągu miesiąca.

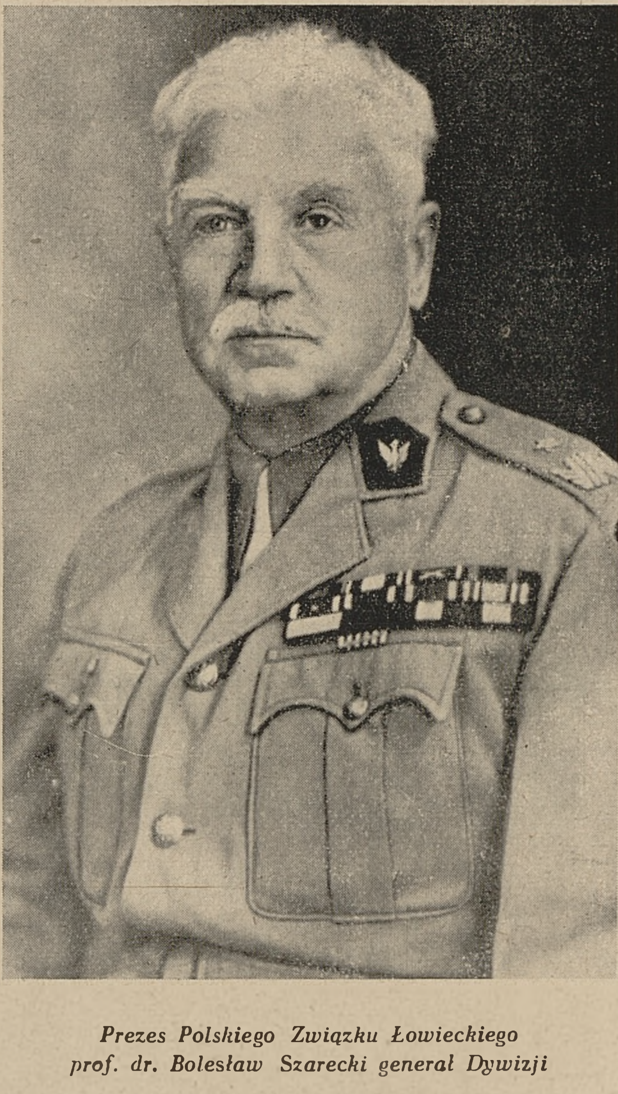
Zaprojektowano również na wniosek Ministerstwa Leśnictwa wzór cennika odstrzału zwierzyny w Lasach Państwowych.

31 sierpnia odbyła się w Bydgoszczy pierwsza po wojnie wystawa psów myśliwskich obesłana bardzo licznie. Polski Związek Łowiecki reprezentowali na pokazie Kol. Kol.: Gen. W. Nowodworski i Z. Kowalski.

Z dniem 25.IX.1946 siedziba Polskiego Związku Łowieckiego zostaje przeniesiona do trzy pokojowego mieszkania na ul. Żulińskiego nr. 6. Warunki pracy stały się teraz znośniejsze, choć jeden pokój odstąpiliśmy Spółdzielni „Jedność Łowiecka", która musiała zaczynać w tej sublokatorskiej klitce swój coraz bardziej rozwijający się interes.

Na posiedzeniu Rady Naczelnej dnia 21.X. 1946 roku w Łodzi uchwalono projekt czasów ochronnych na rok 1947/48.

Ostatnią pracą Komitetu Wykonawczego w r.



Prezes Polskiego Związku Łowieckiego prof. dr. Bolesław Szarecki generał Dywizji

1946 było wydanie, z subsydium otrzymanego z Ministerstwa Oświaty w wysokości 50.000 zł., broszury propagandowej Kol. Mniszek Tchorznickiego p. t. „Dlaczego mamy chronić zwierzynę łowną". Broszurę wydano w 10.000 egzemplarzy, wysyłając ją przede wszystkim bezpłatnie przez kuratoria dla użytku szkół powszechnych w terenie.

Powołano też następujące Komisje: Komisja Główna Organizacji Stowarzyszeń Łowieckich, Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego, Komisja Główna Wydawnicza, Komisja Główna

Propagandowa, Komisja Muzealna, Komisja Prawnicza i Komisja Główna Zebrań Towarzyskich.

W listopadzie 1946 roku delegacja Polskiego Związku Łowieckiego w składzie: gen. W. Nowodworski, Z. Kowalski i Z. Zabłocki, została przyjęta na dłuższej audiencji przez Prezydenta Bolesław Bieruta, który po wysłuchaniu sprawozdania z działalności Polskiego Związku Łowieckiego, obiecał daleko idącą pomoc dla polskiego łowiectwa.

Ostatecznie zorganizowane Rady Wojewódzkie pracowały już z końcem roku normalnie pod przewodnictwem Kol. Kol.:

Białostocka:	inż. Karol Erdman,
Dolno-Śląska:	inż. Tadeusz Szol,
Gdańska:	Henryk Górski,
Kielecka:	inż. Stanisław Ihnatowicz,
Krakowska:	dr. Adam Lardemer,
Lubelska:	inż. Stanisław Jenke,
Łódzka:	inż. Gabriel Głowacki,
Mazurska:	inż. Feliks Soboczyński,
Pomorska:	Wojciech Wojewoda,
Poznańska:	prof. dr. Edward Schechtel,
Rzeszowska:	inż. Stanisław Pyjor,
Śląsko-Dąbrowska:	inż. Antoni Rowiński,
Warszawska:	Włodzimierz Kierwiński,
Zach. Pomorska:	Maciej Gabała.

Rok 1947.

Z początkiem roku 1947 Komitet Wykonawczy przystąpił do pierwszych prac nad odbudową siedziby Polskiego Związku Łowieckiego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pełnomocnik właścicieli domu przy ulicy Nowy Świat 35, w której to posesji przez blisko 50 lat mieścił się lokal związkowy, Kol. Justyn Strumiłło otrzymał w tym samym czasie pozwolenie na odbudowę spalonego budynku.

Kol. Strumiłło w wyniku dłuższych pertraktacji odstąpił Związkowi prawo do odbudowy drugiego piętra domu we frontowej jego części.

Z faktem powrotu na dawne śmiecie, choć nie do pałacyku w podwórzu, ale zawsze na ulicę „Nowy Świat 35", łączyło nas tyle sentymentu, najlepszych wspomnień i świetnej tradycji, że Komitet Wykonawczy przystąpił do prac związanych z odbudową z prawdziwym oddaniem i zaparciem się siebie.

Został też niezwłocznie wybrany Komitet Odbudowy w składzie: Prezes J. Skrzypek oraz Kol. Kol. Z. Zabłocki, Z. Korolkiewicz i A. Tallen Wilczewski. Plany odbudowy sporządził Kol. Arch. B. Zinserling. Długie pamiętam były debaty czy lokal ma być spartańsko prosty, czy też ma zachować styl domku myśliwskiego z boazeriami, belkami i kominkiem. Szczęśliwie, jak widać to na fotografii, zwyciężyła druga zasada.

Ministerstwo Leśnictwa, do którego Komitet Wykonawczy wystąpił z prośbą o pomoc w odbudowie przyznało dla Związku drzewo budulcowe, klepkę i stolarkę po cenie wyjątkowo niskiej, a K. K. O. m. Warszawy udzieliło pożyczki krótkoterminowej w wysokości 3.000.000 zł. Zabezpieczenie hipoteczne pożyczki zaofiarował Polskiemu Związkowi Łowieckiemu Kol. A. Tallen Wilczewski na swej willi w Chylicach.

Dnia 27.IV.47 odbyły się pierwsze próby polowe psów myśliwskich w Kościelcu pod Inowrocławiem.

Dnia 10.V.1947 r. w Krakowie odbyło się posiedzenie Kapituły Odznaczeń Łowieckich, a 11.V — Naczelnej Rady Łowieckiej. Kapituła odznaczyła „Złomem" Kol. Kol.: Z. Kowalskiego i W. Puchalskiego, przyznając również szereg medali.

Rada Naczelna zaakceptowała wyjazd delegatów na Zjazd Międzynarodowej Rady Łowieckiej (C. I. C.) do Paryża w osobach Kol. J. Regulskiego i A. Tallen Wilczewskiego oraz uchwaliła obniżyć składkę członkowską dla funkcjonariuszy Urzędów Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej do kwoty 200 zł., jak dla członków leśników.

Okres maj — czerwiec 1947 r. był okresem specjalnie wytężonej pracy Komitetu Wykonawczego nad wstępnymi pracami przy odbudowie lokalu. Projekt Kol. B. Zinserlinga uzyskał wreszcie, po dwa miesiące trwających głowieniach się BOS-u nad kształtem okna, zatwierdzenie tego wszechwładnego urzędu.

Dzień 30 maja stał się dla Polskiego Związku Łowieckiego dniem wielkiej wagi i nagrody za dotychczasową pracę. Tego bowiem dnia delegacja Polskiego Związku Łowieckiego w składzie: Prezesa Gen. Szareckiego i Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Z. Kowalskiego oraz Kol. Kol. dr. Z. Korolkiewicza i inż. K. Humińskiego złożyła na ręce Marszałka Polski Michała Żymierskiego prośbę o przyjęcie przez Niego Wysokiego Protektoratu nad Polskim Związkiem Łowieckim. Marszałek Polski przychylił się do prośby delegacji i protektorat przyjął, a następnie wysłuchał krótkiego sprawozdania z działalności Związku i „Łowca Polskiego", obiecując wydatną pomoc we wszelkich poczynaniach Polskiego Związku Łowieckiego, związanych z łowiectwem i sprawami organizacyjnymi. Marszałek Polski okazał specjalne zainteresowanie „Łowcem Polskim". Audiencja trwała prawie półtorej godziny.

W pierwszych dniach czerwca zostają wydane przez Polski Związek Łowiecki dwa pierwsze większe wydawnictwa książkowe: a mianowicie: Z. Kowalskiego „Dziennik Łowiecki" i M. Mniszek Tchorznickiego „Oologia ptaków łownych".

Rada Naczelna i Walne Zgromadzenie w roku 1947 zostało zwołane do Opola dla zadokumentowania — wobec zbierającej się tego samego dnia w Paryżu sesji Conseil International de la Chasse (Międzynarodowej Rady Łowieckiej) — nierozerwalnej więzi łączącej Polskę z jej prastarymi ziemiami na Zachodzie.

Rada Naczelna odbyła się w dniach 27 i 28 czerwca w Opolu i przeprowadziła długie debaty, przede wszystkim nad ustaleniem ostatecznego tekstu projektowanej nowej ustawy łowieckiej, a następnie nad uaktualnieniem statutu Polskiego Związku Łowieckiego.

Walne Zgromadzenie, odbyte 29 czerwca przy udziale licznych delegatów i myśliwych z całej

Polski, oraz reperezentantów władz, zatwierdziło (po długiej dyskusji na temat zniesienia kategorii członków nadzwyczajnych) zmianę statutu Polskiego Związku Łowieckiego, sprawę zaś projektu ustawy łowieckiej odłożyło do następnego, mającego być specjalnie w tym celu zwołanego Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia po uprzednim rozesłaniu odpisu projektu wszystkim delegatom.

Na członków honorowych Polskiego Związku Łowieckiego Zgromadzenie przez aklamację wybrało Kol. Kol.: Józefa Gieysztora, nestora polskiego łowiectwa i aktualnego redaktora „Łowca Polskiego" oraz prof. Witolda Ziembickiego, świetnego pisarza łowieckiego i ostatniego redaktora „Łowca" organu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Wobec ustąpienia z Rady Naczelnej Kol. Kol.: Wiceprezesów F. Soboczyńskiego, gen. Nowodworskiego i prof. J. Gieysztora oraz członków: S. Czerskiego, H. Knothego, wybrano na wiceprezesów Kol. Kol.: Gen. dyw. Stefana Mossora. Dyrektora L. P. inż. Gabriela Głowackiego i Dyrektora L. P. inż. Mieczysława Niezabitowskiego, a na członków Rady płk. Apolinarego Mineckiego, płk. Stanisława Łętowskiego i płk. Janusza Karwowskiego.

Wysłaniem depesz do Marszałka Polski Michała Żymierskiego, Protektora Polskiego Związku Łowieckiego, a następnie do Zjazdu C. I. C. w Paryżu oraz odśpiewaniem „Roty" zakończono zebranie w Opolu.

Rozwój i stan osobowy Polskiego Związku Łowieckiego w terenie przedstawia się, w/g sprawozdania Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Z. Kowalskiego, z roku 1947 oraz w/g ostatnich danych z czerwca 1948 r., jak następuje:

Województwo	Ilość członków					
	1923	1931	1939	1946	1947	1948 20.6.
Białystok			685	660	786	545
Bytom			520	597	2330	2274
Dolny Śląsk				723	2500	1584
Kraków			500	1519	1534	2005
Lublin			1083	736	945	771
Łódź			385	1734	1990	2223
Mazury				304	459	657
Pomorze			1574	2123	2749	2734
Poznań			1908	4970	5533	4820
Radom			635	2700	2400	2500
Rzeszów			200	593	885	875
Szczecin					999	1092
Warszawa			1326	2004	3025	2750
Sopot					922	1129
inne			2944			1000
Razem	1698	3460	11700	13103	26598	26959

W zewnętrznych stosunkach Polskiego Związku Łowieckiego należy podkreślić coraz bardziej zacieśniającą się współpracę między Związkiem a Państwową Radą Ochrony Przyrody.

W sierpniu wobec nader powolnego tempa robót przy odbudowie siedziby Polskiego Związku Łowieckiego, Komitet Wykonawczy wyznaczył specjalnego Komisarza Odbudowy, opatrzonego całkowitymi pełnomocnictwami, w osobie Przewodniczącego Kol. Z. Kowalskiego. Prace potoczyły się szybkim tempem i dnia 23.X.47 wszelkie prace związane z odbudową zostały zakończone, a zakupione w Spółdzielni „Las", „Sztuce urządzenia wnętrz" i F-mie Geldner i W. Nitkowski urządzenie wewnętrzne siedziby zawieziono na miejsce.

To też dnia 25.X.47 r. mogło się już odbyć w obecności Ministra Obrony Narodowej, Marszałka Polski, Michała Żymierskiego, i Ministra Leśnictwa, Bolesława Podedwornego, uroczyste otwarcie nowoodbudowanej siedziby Polskiego Związku Łowieckiego.

Dnia 26.X.47 Walne Zgromadzenie uchwaliło projekt nowej ustawy łowieckiej. Uchwalono też podnieść wysokość składki do 1000 zł. dla członków zwyczajnych i 600 zł. dla ulgowych. Ważny w tej uchwale jest punkt, mówiący, iż 50% składek ma iść dla Rad Powiatowych. W składce mieści się też opłata (400 zł.) za dwanaście numerów „Łowca Polskiego", który od stycznia 1948 r. zmienił się na miesięcznik o nakładzie 25 tys. egzemplarzy.

W Olsztynie została, otwarta 3 listopada 1947 r. pierwsza po wojnie wystawa łowiecka, pięknie zorganizowana przez Kol. H. Knothego.

Na tych mocnych akordach kończy się rok 1947. Pracę rozpoczętą w nowym lokalu, reorganizację biura, zebrania towarzyskie i inne rozwinęły się szerzej w roku 1948.

Rok 1948.

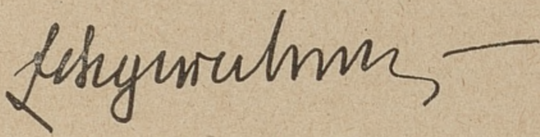
Rok 1948 stawia Polski Związek Łowiecki przed zupełnie specjalnymi zadaniami, zakrojonemi na bardzo szeroką skalę. Projekt nowej ustawy łowieckiej, ostatecznie wygładzony przez Komisję Prawniczą, został złożony w Ministerstwie Leśnictwa. Według wszelkich danych ustawa wejdzie w życie jeszcze w bieżącym roku, stawiając Polski Związek Łowiecki w rzędzie samorządów gospodarczych i czynnika ustawowo odpowiedzialnego za całość gospodarki łowieckiej w Państwie.

Jednocześnie zatwierdzenie uzupełnionego statutu Polskiego Związku Łowieckiego przez władze w dniu 5.XII.47 r. narzuca Związkowi obowiązek przygotowania i ujęcia w mocne karby organizacyjne wszystkich myśliwych w Polsce. Zniesienie kategorii członków nadzwyczajnych i wprowadzenie jednocześnie egzaminów — to początek na większą skalę zamierzonej akcji szkoleniowej i propagandowej, za wprowadzenie której w życie i stworzenie pełnowartościowych prawych myśliwych, spada poważna odpowiedzialność na barki władz Polskiego Związku Łowieckiego.

Niemniej poważną sprawą jest budżet naszego Związku. Już w tej chwili zamykać się on będzie w ramach 20.000.000 złotych, a nie jest wcale wykluczone, że na koniec roku, przy przewidywanych słusznie liczbie 30.000 członków, skoczy do 25.000.000 zł.

Polski Związek Łowiecki wyszedł więc już w chwili obecnej z wieku młodzieńczego, dojrzał do spełnienia nie tylko wziętych przez siebie, ale także nałożonych przez Państwo, obowiązków. Horyzonty dla naszej organizacji roztwierają się coraz rozleglejsze, możliwości stają się prawie nieograniczone, lecz jednocześnie odpowiedzialność, jaka spada na nas, jest bardzo wielka. Czy potrafimy się z tych zadań wywiązać, czy sprostamy obowiązkom?

Odpowiedź na te pytania daje historia ćwierćwiecza pracy Polskiego Związku Łowieckiego. Zachowanie przez nasz Związek niezachwianej przez 25 lat ideowej linii postępowania, niezatracenie jej w czasie burzy dziejowej, a przede wszystkim iskra prawdziwego zapału, drzemiąca w piersiach naszych działaczy łowieckich, mówią, że TAK!



MIECZYSŁAW MNISZEK-TCHORZNICKI

ŁOWIECTWO ONGIŚ — DZIŚ — I JUTRO

Łowiectwo znane jest w historii, odkąd występuje człowiek. Przechodzi ono różne ewelucje, formy, przekształca się, staje się coraz bardziej kulturalne i cywilizowane, ale istnieje nadal, i istnieć będzie, jak długo istnieć będzie człowiek. Choćby nie stało zwierzyny, w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, łowiectwo istnieć będzie. Jest ono tak nierozerwalnie złączone, w mniejszym lub większym stopniu, z charakterem człowieka, że przetrwa wszelkie zmiany i wstrząsy społeczne i ogólnoludzkie i zginie dopiero wraz z wymarciem ludzi.

W okresie przedhistorycznym łowiectwo było koniecznością życiową człowieka. Zwierzyna dostarczała mu pożywienia, skór na odzienie i kości do wyrabiania szeregu przedmiotów codziennego użytku.

W miarę postępu cywilizacji, zmienia się i charakter łowiectwa. Powoli staje się ono zajęciem pobocznym w okresie, gdy rolnictwo rozwija się coraz bardziej. Wtedy to bowiem człowiek musi bronić płodów rolnych i inwentarza przed zbyt liczną zwierzyną łowną z jednej strony, z drugiej zaś — łowy stają się zaprawą do wojen, jakby szkołą rycerskich zapasów. Trwa to bardzo długo.

Ale przez cały ten okres łowiectwo nie traci swego gospodarczego znaczenia. „Pełne zwierza bory" — dostarczają w czasie wojen olbrzymich zapasów mięsa, w czasie pokoju wartościowych skór, stanowiących przedmiot handlu zagranicznego, oraz całego szeregu niesłychanie cennych specyfików, znanych w ówczesnej medycynie.

Krótki, zmanierowany okres panowania Sasów, zmienia ten charakter łowiectwa, które przechodzi wówczas krótkotrwały kryzys. Staje się wtedy rozrywką zdegenerowanych arystokratów, którzy dla zabicia czasu polują, nie widząc w łowiectwie ani wartości emocjonalnych, ani wychowawczo-gospodarczych. Na szczęście okres ten trwa krótko. Bowiem niedługo łowiectwo stanie się znów szkołą wojenną licznych zastępów młodzieży w okresie walk powstańczych z carską Rosją, brutalnymi Prusami i chytrą, jezuicką Austrią.

XIX wiek, to jakby „złoty wiek" w łowiectwie. W tym bowiem okresie łowiectwo przekształca się znowu i staje się zajęciem coraz poważniejszym pod względem kulturalnym, społecznym, naukowym i gospodarczym, nie tracąc nic ze swej emocjonalnej atrakcyjności.

Wiek XIX, a dokładniej rok 1848, a więc sto lat temu, okres „Wiosny ludów", przynosi Europie środkowej pierwsze prawa łowieckie, zbliżone do dzisiejszych, mające na celu ochronę zwierzyny, a nie głosząc jedynie o przywilejach łowieckich, jak to było dotychczas.

W tym samym okresie liczne wyprawy łowieckie w głąb „Czarnego lądu" lub Ameryki Południowej, przynoszą wielkie zdobycze naukom przyrodniczym. Zasługa to myśliwych. Polska nie pozostaje w tyle. Wyprawy polskie, jak: Jelskiego, Sztolcmana i innych do Ameryki Południowej, Potockiego, Wodzickiego, Sztolcmana do Afryki, gen. Grąbczewskiego, Wodzickiego do Azji, odsłaniają wiele tajemnic z życia zwierząt. Łowiectwo rozwija się wspaniale.

Koniec XX wieku zastaje myśliwych polskich przygotowanych do założenia podwalin pod przyszły fundament dzisiejszego Polskiego Związku Łowieckiego. W tym bowiem czasie powstaje we Lwowie — Galicyjskie dział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Polowania, w Poznaniu — „Łowiec Wielkopolski". Krzewi się słowo łowieckie, wzrasta wiedza łowiecka, powstają stowarzyszenia, mające na celu racjonalną gospodarkę łowiecką.

Coraz bardziej zaczyna się doceniać wartość łowiectwa. Wprawdzie jeszcze nie rozumiano znaczenia gospodarczego łowiectwa, ale uznawano znaczenie wychowawcze. U wielu ówczesnych publicystów — myśliwych przewija się jak-

by podświadomie — przeczucie, czym łowiectwo stać się powinno.

Wspaniały rozwój łowiectwa zostaje przerwany wybuchem I-ej wojny światowej w r. 1914.

Ale zaledwie przejdzie kataklizm wojenny, nim ostygną zgliszcza, ledwo umilknie głuchy pomruk armatni, znów myśliwi zaczynają wracać do swej ulubionej pasji, znów tworzenie stowarzyszeń i kółek oraz organizowanie łowisk staje się ośrodkiem zainteresowań.

Tylko szeregi myśliwych zmieniły się.

Kiedy przed pierwszą wojną światową polował tylko ziemianin, kapitalista, czasem leśnik, to w latach 1920 — 1939 poluje już obok poprzednich — urzędnik, rzemieślnik, majster i podoficer.

Łowiectwo coraz bardziej upowszechnia się, choć ster jego pozostaje nadal w rękach uprzywilejowanych. Do kółek łowieckich należyć może każdy, dla kogo łowiectwo jest tym zajęciem, które pobudza krew do szybszego krążenia, dla którego obcowanie z przyrodą stanowi prawdziwy odpoczynek po całotygodniowej pracy.

Wreszcie w r. 1923, a więc dwadzieścia pięć lat temu, powstaje Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich — organizacja zrzeszająca wszystkie Stowarzyszenia Łowieckie i Kółka Myśliwskie, organizacja przejmująca wspaniałe tradycje Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego, Łowca Poznańskiego i Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Polowania w Warszawie.

Zrozumienie istotnych potrzeb racjonalnej gospodarki łowieckiej, spowodowało fuzję tych organizacji. Czyn ten zapoczątkował nową erę w łowiectwie polskim. Rok 1923 staje się dla łowiectwa naszego rokiem brzemiennym w skutki. W cztery lata po tym (1927) ukazuje się nowa doskonała ustawa łowiecka, normująca sprawy łowieckie na terenie całej Polski, usuwając ustawy dzielnicowe. Ustawa łowiecka z r. 1927 była naprawdę doskonałą, stała się wzorem dla szeregu ustaw innych państw. Ale życie szło naprzód i już przed 1939 r. Związek Łowiecki opracowywał nowelę do ustawy, której zmianę nakazywał postęp.

Dla łowiectwa okres przed ostatnią wojną był jakby okresem przygotowawczym do tego, co nastąpiło dziś.

Już przed wojną myśliwi zrozumieli, że łowiectwo to nie tylko wspaniała rozrywka i przyjemność, lecz poważna gałąź wiedzy, gałąź gospodarki narodowej oraz moment wychowawczy. Myśliwi zrozumieli ważną rzecz, że chcąc polować, trzeba znać się na łowiectwie i umieć hodować. I dlatego powoli łowiectwo dorastało do stopnia wiedzy. Dowodem tego jest wprowadzenie wykładów łowiectwa na wyższych uczelniach i co potym następuje — doktoryzowanie się z tego przedmiotu.

Znaczenie łowiectwa zrozumieli nie tylko myśliwi. Powoli zaczęły je rozumieć bardziej postępowe odłamy społeczeństwa i sfery naukowe.

I dlatego łowiectwo powoli stawało się coraz bardziej powszechne. Stało się ono dostępne dla wszystkich, ale dla licznych było tylko marzeniem, gdyż było zawsze połączone z dużymi dość wydatkami i dlatego też nie każdy mógł sobie na to pozwolić. Wielu musiało sobie odmówić najkonieczniejszych rzeczy, o ile nie mogli opanować swej namiętności łowieckiej, a pragnęli choć jeden dzień w miesiącu spędzić na łowach, w kontakcie z wspaniałościami polskiej przyrody.

Ten tryumfalny postęp łowiectwa zostaje zahamowany tragicznymi wypadkami roku 1939. Zaślepiony w swej wściekłości germański najeźdźca niszczy wszystko, co świadczy o cywilizacji i kulturze polskiej. Zniszczone zostają zwierzostany nasze, spalone lub zbombardowane, a nawet rozgrabione przez niemieckich „kulturträgerów" zbiory myśliwskie. Zdawałoby się, że już nie ma ratunku dla łowiectwa polskiego.

Ale łowiectwo istnieć musi, bo jeszcze istnieją ludzie, jeszcze żyją Polacy. Już w czasie okupacji pracują polscy myśliwi nad rozwojem łowiectwa.

I właśnie w tym okresie, może nawet nie przeczuwając olbrzymich zmian społecznych, ideowi pracownicy łowiectwa polskiego stwarzają nowe formy, wskazują nowe kierunki, nowe znaczenie łowiectwa.

W czasie okupacji zostaje opracowany nowy projekt ustawy łowieckiej, projekt, który staje się podstawą ostatecznego projektu noweli do ustawy, przedstawionego Rządowi Polski Demokratycznej. Rok 1944 zastaje łowiectwo polskie zorganizowane, choć bez organizacji. Znajdują się ludzie z Januszem Stelińskim na czele, którzy nie czekając na oswobodzenie całej Polski, na małym skrawku kilku województw reaktywują Polski Związek Łowiecki.

Że Rząd Ludowej Polski docenił znaczenie łowiectwa dowodzi fakt, że mimo niesłychanie ważnych prac i zadań, mimo, że olbrzymie połacie Polski krwawią jeszcze pod butem Gestapo, powołuje do życia w łonie ówczesnej Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych komórkę dla łowiectwa. Na czele tej komórki staje leśnik polski, Józef Ostrowski, dzięki któremu ukazują się pierwsze czasy ochronne dla zwierzyny łownej, mające na celu ratować resztki tej zwierzyny.

Idea prawidłowego łowiectwa, poparta przez Rząd, rozpracowana rękoma ludzi oddanych całym sercem sprawie, zwyciężyła.

Łowiectwo odrodziło się szybko.

Ale wraz z olbrzymimi przemianami społecznymi, nastąpić musiały i zmiany w łowiectwie. Upaństwowienie lasów i rozparcelowanie wielkiej własności, musiało pociągnąć duże zmiany w samym nastawieniu do spraw łowieckich. A zniszczenie inwentarza żywego zmusiło i społeczeństwo do zmiany w stosunku do łowiectwa. Szerokie warstwy zrozumiały, że łowiectwo, to nie tylko pasja, ale olbrzymia, do tej pory niedoceniana, zaniedbana gałąź gospodarki narodowej, którą trzeba rozwinąć, aby stała się tym, czym winna być. Łowiectwo winno bowiem dostarczyć na rynek wewnętrzny 7 — 15% ogólnego zapotrzebowania na mięso i poważnej ilości szlachetnych skór. Ale dostarczyć je może tylko przy racjonalnej gospodarce i odpowiedniej ochronie.

Wielką zdobyczą dla ogółu myśliwych jest powszechność obecnego łowiectwa. Dziś poluje dosłownie każdy, kto chce polować. Dziś nie ma uprzywilejowanych i upośledzonych. Każdy, kto czuje w sobie pasję myśliwską, może polować,

Zmiana nastąpiła również w nastawieniu Państwa do zagadnień łowieckich. Ministrowie sanacyjni polowali, bo było to w dobrym tonie, ale sami nic nie robili, aby podnieść łowiectwo, aby rozpowszechnić je, lub odpowiednią propagandą zmienić nastawienie do łowiectwa. Dziś jest inaczej, polujący minister wydaje odpowiednie rozkazy, aby łowiectwo podnieść, aby zwalczyć nielegalne polowania, aby uchronić zwierzostany od zagłady.

Przez wiele lat Polski Związek Łowiecki zabiegał o wydanie odpowiedniego artykułu, który by zmusił myśliwych do należenia do wspólnej organizacji. Daremnie kołataliśmy o to! Dziś, jednym zarządzeniem, staraniom naszym Rząd zadość uczynił.

Kto nie należy do Związku — nie ma prawa polować.

Przed wojną w roku 1939 do Związku należało 11.500 myśliwych, dziś liczba członków osiąga blisko 30.000 osób.

Ale organizacja, jednocząca w sobie tak olbrzymią ilość członków, organizacja będąca samorządem na pewnym odcinku gospodarki narodowej, organizacja, której projekt nowej ustawy daje olbrzymie prerogatywy i która staje się organem opiniodawczym dla Rządu oraz jest czynnikiem społecznym w sprawach łowieckich, taka organizacja musi zdać sobie sprawę z tego, jak wielka ciąży na niej odpowiedzialność, jak wielkie przed nią istnieją cele i zadania.

Na czele Związku stoją ludzie bezsprzecznie fachowi, owiani jak najlepszymi chęciami, zdający sobie całkowicie sprawę z tego, że kierując tak poważną instytucją, wzięli na swoje barki niemały trud i olbrzymią odpowiedzialność za przyszłość polskich zwierzostanów i wychowanie etycznego społeczeństwa łowieckiego.

Ale to mało! Zrozumieć to muszą i inni. Zrozumieć to muszą przede wszystkim Łowczowie i Podłowczowie Powiatowi, zrozumieć to musi każdy, kto chce do naszej organizacji należeć.

Trudno! Musimy sobie powiedzieć, że ci, którzy do Związku się zapisali tylko po to, aby polować, dla których zagadnienie ideowego łowiectwa nie istnieje, których obce są problemy hodowli i ochrony zwierzyny łownej, ci będą musieli opuścić nasze szeregi, bo zawód rzeźnika zostawmy rzeźnikom, bo dla „strzelaczy" nie ma miejsca w naszej organizacji.

Dla kogo łowiectwo jest tylko synonimem polowania, ten jest burzycielem, a nie budowniczym. Polowanie musimy traktować jako zabieg hodowlany, wykonywany w połączeniu z wyładowaniem się przemożnej pasji myśliwskiej i chęcią przeżycia niezapomnianych emocji, ale nie jako podstawa łowiectwa. Bo podstawą łowiecką jest racjonalna hodowla zwierzyny.

Zdawałoby się, że ostatnia wojna podważyła tak poważnie istnienie łowiectwa, że zbliża się jego zmierzch. Ale mylą się ci, którzy tak myślą. Może nigdy jeszcze w historii nie zaistniał moment tak przychylny dla łowiectwa.

Przede wszystkim czynniki najwyższe, stojące u steru Państwa, doceniają dziś znaczenie gospodarcze łowiectwa i we wszelki możliwy sposób starają się pomóc pracy związkowej.



J. Brandt — *Wyciąganie odyńca z jaru*

Zwierzostany acz zdewastowane, nie zostały wyniszczone. Stan zwierzyny podnosi się z roku na rok, a zrozumienie łowiectwa w całym społeczeństwie wzrasta proporcjonalnie do uświadamiania jaknajszerszych mas.

Oto czynniki, które pozwalają patrzeć z ufnością w przyszłość.

Ale niech ten okres przychylny dla łowiectwa nie zaciemni nam niedostatecznego jeszcze poziomu myśliwych i nie dajmy się zahypnotyzować jasnym promieniem konjunktury. Bo pracy jeszcze dużo!

Polski Związek Łowiecki ma przed sobą wielkie cele, ale trudne i długie są drogi do nich. Od wypełnienia tych zadań zależy wszystko.

To też rozpatrując „jutro" polskiego łowiectwa, rozpocząć musimy od zastanowienia się nad zadaniami Polskiego Związku Łowieckiego.

Idą one w dwóch kierunkach. Nazwę je: kierunkiem rzeczowym i kierunkiem propagandowo-wychowawczym.

Przejdźmy je w kolejności odwrotnej.

Kierunek propagandowo-wychowawczy powinien kroczyć po dwóch równoległych drogach. Pierwsza — to wychowanie i uświadomienie oraz zdyscyplinowanie swych członków, druga — to propaganda łowiectwa w jak najszerszych sferach społeczeństwa.

Musimy sobie zdać dokładnie sprawę, że nie wszyscy członkowie Polskiego Związku zrozumieli doniosłość wspólnej organizacji i konieczność należenia doń. Przynajmniej 50% zapisało się do Związku, ponieważ tylko tą drogą mogą zdobyć pozwolenie na broń myśliwską, a tym samym polować. I u tych 50% szwankuje mocno etyka łowiecka. Bez zrozumienia etyki łowieckiej, nie istnieje prawidłowy myśliwy. I oto pierwsze zadanie Polskiego Związku Łowieckiego — wychować etycznego myśliwego. Wychować myśliwego, dla którego ostatecznym celem nie jest zdobycie zwierzyny, ale osiągnięcie wspaniałych przeżyć na tle kontaktu z przyrodą, dla którego strzał — to nie zawsze konieczny finał rozgrywającego się dramatu między zwierzęciem a człowiekiem. Myśliwy finał ten rozegrać musi zawsze „fair".

Zadaniem Związku jest również wykształcić myśliwego, aby znał zasady hodowli zwierzyny, aby zagadnienia ochrony nie były mu obce, aby myśliwy umiał patrzeć na cuda przyrody i umiał wyciągać korzyści z kontaktu z naturą. Polowanie winno być dla człowieka odpoczynkiem po pracy, sprawdzianem jego sprawności fizycznej, koleżeńskości i znajomości przyrody, a nie chęcią zdobycia pewnej ilości mięsa lub wartościowszej skóry. Wprawdzie celem polowania jest ubicie zwierzyny, ale niech to będzie traktowane jako zabieg hodowlany, jako epilog gospodarczego znaczenia, a nie krwiożercza rozkosz.

Gdy mowa o wychowaniu myśliwego, to tu wspomnieć również musimy o wychowaniu przodowników łowiectwa. Niestety, dziś sprawa ta szwankuje. Przodownikami łowiectwa nazywam Łowczych i Podłowczych powiatowych, ludzi, od których wiele, a może wszystko zależy, a którzy nie zawsze stoją na wysokości zadania. Nie każdy myśliwy nadaje się na ideowego działacza, jak nie każdy człowiek może być publicystą. Ale Związek Łowiecki działaczy takich wychować musi, bo inaczej któż wychowa społeczeństwo łowieckie dziś i jutro? Wielu Łowczych i Podłowczych przyjęło swe mandaty, nie zdając sobie sprawy z odpowiedzialności, jaką przyjęli na siebie. Dla wielu jest to honor, gdy tymczasem stanowisko to winno być pojęte jako ideowa praca na polu łowiectwa. Honory i odznaczenia zdobędziemy po zdaniu egzaminu z tej pracy, a największą nagrodą winny być lasy i pola pełne zwierzyny i rozkwit łowiectwa. Oto nagroda dla myśliwego, a nie stanowisko Łowczego. Dla urzędnika nagrodą są wyniki jego pracy, a nie stanowisko w biurze. Łowczy jest takim urzędnikiem, choć honorowym, niemniej odpowiedzialnym za swój odcinek pracy. Kto nie czuje się na siłach, kto nie ma czasu, niech ustąpi, bo niewykonywanie obowiązków—to brak etyki, a tym bardziej w wypadku, gdy nic i nikt do tego nie zmusza.

Oto zadanie drugie Polskiego Związku Łowieckiego — wychowanie przodowników łowiectwa, aby ci z kolei wychowali myśliwych i młodzież, aby byli przygotowani do uczczenia etyki łowieckiej, aby świecili przykładem, aby wiadomości fachowe z dziedziny łowiectwa krzewili wśród myśliwych swego powiatu.

Zarówno tych przodowników jak i myśliwych wychowywać trzeba drogą uświadamiania. Odczyty publiczne i radiowe, pogadanki w świetlicach, broszury i książki, a nade wszystko oddziaływanie na łowach — oto drogi, po których wychowanie winno iść.

Drugą drogą kierunku propagandowo-wychowawczego to propaganda racjonalnego łowiectwa wśród najszerszych warstw społeczeństwa.

Wśród społeczeństwa polskiego pokutuje jeszcze mniemanie, że łowiectwo, to sport i zabawka możnych, lub wyżywanie się krwiożerczych instynktów, ukrytych w człowieku. Tak jednak nie jest. My myśliwi wiemy dobrze czym jest łowiectwo i jak wielkie posiada ono znaczenie gospodarcze, ale nie wszyscy o tym wiedzą, a dowiedzieć się muszą.

I oto trzecie zadanie Polskiego Związku Łowieckiego — uświadomienie społeczeństwa o gospodarczym i wychowawczym znaczeniu łowiectwa.

Społeczeństwo musi się dowiedzieć, co daje krajowi racjonalna gospodarka łowiecka. Ile kilogramów mięsa dostarcza na rynek zwierzyna i ile skór najwartościowszych. Jakie korzyści daje odpowiednio postawione łowiectwo. Mieszkaniec miasta musi zrozumieć, że zwierzyna, zwłaszcza dziś, wypełni szybko lukę na rynku mięsnym, powstałą wskutek wyniszczenia inwentarza żywego, zaś mieszkaniec wsi doceni znaczenie łowiectwa, gdy za wydzierżawiony, bogaty w zwierzynę teren, gromada wystawi dom ludowy, zelektryfikuje wieś lub zaprowadzi inne inwestycje. Ale o tym trzeba mówić, a jeszcze lepiej pracą i czynem udowodnić prawdę swego twierdzenia.

Jeśli chodzi o kierunek rzeczowy zadań Polskiego Związku Łowieckiego, to na pierwszy plan wysuwa się podniesienie naszych zwierzostanów, tak pod względem jakościowym, jak i ilościowym.

Tu musimy sobie powiedzieć, że pracy jest bardzo dużo, ale pracy, do której wziąć się mogą tylko fachowcy. Hodowla zwierzyny łownej jest poważnym problemem naukowym i nie może być traktowana dorywczo. Nie możemy ślepo dążyć do powiększenia naszych zwierzostanów bez uwzględnienia warunków żywnościowych,

terenowych i klimatycznych. Przy hodowli zwierzyny musimy też zastanowić się nad zagadnieniem racjonalizacji, zagadnieniem bardzo ważnym, do tej pory zupełnie nie branym pod uwagę, gdy chodzi o zwierzynę łowną.

Oto zadanie czwarte — postawienie hodowli zwierzyny łownej na poziomie najwyższym z uwzględnieniem ostatnich zdobyczy nauki. Przez nie podniesiemy zwierzostany nasze tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym, zmniejszając szkody czynione przez zwierzynę, a zwiększając dochody z łowiectwa.

Zadaniem piątym Polskiego Związku Łowieckiego będzie rozwój hodowli psa myśliwskiego.

Odpowiednio postawiona hodowla psa myśliwskiego w kraju, świadczy o kulturze łowieckiej jego mieszkańców.

Winniśmy dążyć do tego, aby każdy myśliwy, a przynajmniej każde łowisko z grubą zwierzyną, miało psa wszechstronnego. Myśliwy musi zrozumieć, że posiadanie psa jest takim samym warunkiem polowania, jak i posiadanie strzelby. Są to rekwizyty, bez których polować nie można.

Przed Związkiem Łowieckim leży zadanie postawienia hodowli psa myśliwskiego na takim poziomie i w takich rozmiarach, by kupno dobrego psa nie nastręczało myśliwemu zbyt wiele trudności, aby było ono dostępne dla każdego.

Również i rozwój strzelectwa myśliwskiego jest jednym z zadań Polskiego Związku Łowieckiego. Musimy rozbudować sieć strzelnic zarówno do strzelań kulowych, jak i śrutowych, wprowadzić obowiązek ćwiczenia się w strzelaniu do rzutków dla początkujących myśliwych, oraz obowiązek corocznego przestrzelania broni kulowej przed sezonem łowieckim. Związek dążyć musi do umożliwienia każdemu myśliwemu brania udziału w strzelaniu do rzutków, dziś bardzo drogim. Tu Rząd musi przyjść z pomocą, a zwłaszcza sfery wojskowe, gdyż dobry myśliwy, dobry strzelec standowy, będzie napewno dobrym strzelcem w wojsku. Rządy innych państw doceniają znaczenie zaprawy strzeleckiej u myśliwych. Weźmy np. Rosję, gdzie strzelanie do rzutków popierane jest przez wojsko i rząd, a strzelnice do rzutków znajdujemy w małych nawet miasteczkach.

Rozwój strzelectwa myśliwskiego będzie zatym szóstym zadaniem Polskiego Związku Łowieckiego.

I wreszcie — siódme zadanie Polskiego Związku Łowieckiego, to krzewienie kultury łowieckiej. O kulturze danego zawodu, czy pewnej części społeczeństwa świadczą przejawy tego zawodu w sztuce.

Dlatego o kulturze społeczeństwa łowieckiego będą świadczyć dzieła sztuki, których motywem jest łowiectwo. Pod tym względem stoimy wysoko. Dobra i bogata literatura piękna, arcydzieła sztuki plastycznej i muzycznej, biorą motywy z polskiej przyrody i łowiectwa. Nie usypiajmy jednak w upojnym samozachwycie, lecz wytężmy nasze siły, aby sztukę silniej jeszcze zespolić z łowiectwem, aby zachęcić artystów do szukania motywów w łowiectwie. Osiągniemy to rozpisując szereg konkursów, stwarzając stypendia dla młodych artystów, kształcących się w wyższych uczelniach, nagradzając dzieła sztuki, których podłożem jest łowiectwo.

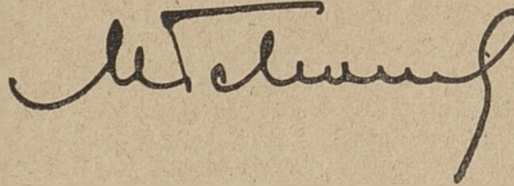
Gdy te zadania Polski Związek Łowiecki spełni, mam wrażenie, łowiectwo stanie na poziomie, jakiego oczekujemy i do jakiego dążymy.

A spełni je, gdy wszyscy weźmiemy się do pracy zaraz, już dziś, nie odkładając na jutro. Zacznijmy każdy od siebie, zanalizujmy nasze podejście do łowiectwa i zastanówmy się, czy zawsze i wszedzie jesteśmy w porządku z etyką łowiecką i z obowiązkami członka Polskiego Związku Łowieckiego.

Wierzę głęboko, że mając poparcie Rządu, pracując w Związku pod Wysokim Protektoratem Marszałka Polski Michała Żymierskiego, zapalonego myśliwego, rozumiejącego nasze bolączki i pragnącego podnieść łowiectwo, potrafimy zrobić wiele i dokonamy tego w drugim dwudziestopięcioleciu.

A nie wolno nam zapominać, że praca w łowiectwie — to też mały odcinek pracy dla kraju, dla Ojczyzny, której rozkwit leży chyba każdemu na sercu.

Wierzę, że gdy wspólnym wysiłkiem dźwigniemy nasze łowiectwo na poziom, o którym mowa, wówczas będziemy mogli powtórzyć za wielkim mistrzem słowa, zapalonym myśliwym, Józefem Weyssenhoffem: „I wszystko u was ucichnie, przeminie, ostatnia przetrwa moja gra łowiecka".





„ŁOWIEC POLSKI"

(Krótki szkic historyczny).

Historia „Łowca Polskiego" związana jest ściśle od końca zeszłego wieku z historią polskiego łowiectwa w b. Kongresówce. A nawet tak się przypadkowo składa, że w roku 1948, który jest rokiem jubileuszowym 25-lecia Polskiego Związku Łowieckiego, przypada jednocześnie 50-ty rok wydawania naszego oficjalnego organu.

Kolejnych numerów „Łowca Polskiego" oddanych do rąk czytelników w okresie od 1.IV. 1899 roku do 1.VI.1948 roku było 955.

1899 — 1914.

Dnia 1 kwietnia 1899 roku ukazuje się w prenumeracie i kioskach gazetowych „Łowiec Polski", jak głosi podtytuł pisma: „Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich". Pierwsza strona



ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Nr. 1. Warszawa, 20 [illegible] 1 kwietnia 1899 r. Rok I.

Od Redakcyi.

Postęp, przejawiający się z biegiem czasu w każdej dziedzinie działalności ludzkiej, zmienił zasadniczo kierunek łowiectwa, którego jedynem zadaniem było niegdyś upolowanie zwierza. Dziś myślistwo oznacza przedewszystkiem dążenie do rozhodowania zwierzyny łownej, która winna być uważana niejako na równi z innem dobrem rolnika.

W ostatnim dziesiątku lat w naszym kraju bardzo wybitnie zaznaczyła się dążność do podniesienia [illegible] i niemało nawet na tem polu zrobiono. Są to jednak dotychczas rezultaty usiłowań nielicznych jednostek, ogół bowiem naszych myśliwych nie ma ani źródeł, z których czerpałby wiadomości w kierunku prawidłowej gospodarki łowieckiej, ani organu, około którego mógłby się skupić dla wymiany myśli i wzajemnego komunikowania sobie wyników osobistych doświadczeń i spostrzeżeń, niejednokrotnie bardzo ważnych dla łowiectwa wogóle, a naszego myślistwa w szczególności. Dopóki wiadomości te będą przechodziły z ust do ust, nie wykraczając poza ciasną sferę zamkniętych kółek, dopóki nie będą one dostępne jaknajszerszemu ogółowi, dotąd sprawa łowiectwa krajowego będzie stała w miejscu, a nieświadomość tego ogółu paraliżować będzie dodatnią działalność ludzi, ożywionych najlepszemi dla łowiectwa chęciami.

Rozpowszechnianie przeto pożytecznych wiadomości o rozmnażaniu, pielęgnowaniu i ochronie zwierza łownego, krzewienie zdrowych zasad etyki łowieckiej, szerzenie pojęć o poszanowaniu cudzej własności

Karta tytułowa Łowca Polskiego Nr. 1 z roku 1899.

„Łowca Polskiego", wydanego w formacie takim samym, jak i dzisiaj, ozdobiona jest winietą Juliusza Fałata, przedstawiającą saneczki myśliwskie, zdążające do zaśnieżonej wsi puszczańskiej.

Redaktorem pisma został świetny pisarz, europejskiej sławy podróżnik i przyrodnik, Jan Sztolcman.

Naczelny artykuł zamieszczony w 1-ym numerze p. t. „Od Redakcji" przemawia do nas językiem takim samym, jakim i dzisiaj należy wołać do naszej społeczności łowieckiej:

„Ogół naszych myśliwych nie ma ani źródeł, z których czerpałby wiadomości w kierunku prawidłowej gospodarki łowieckiej, ani organu, wokół którego mógłby się skupić dla wymiany myśli i spostrzeżeń, niejednokrotnie bardzo ważnych dla łowiectwa w ogóle, a naszego myślistwa w szczególności. Dopóki wiadomości te będą przechodziły z ust do ust nie wykraczając poza ciasną sferę zamkniętych kółek, dopóki nie będą one dostępne jaknajszerszemu ogółowi, dotąd sprawa łowiectwa krajowego będzie stała w miejscu, nieświadomość tego paraliżować będzie dodatnią działalność ludzi, ożywionych najlepszymi dla łowiectwa chęciami".

Pierwszymi współpracownikami „Łowca Polskiego" byli: Karol Albus, Julian Biesiekierski. Władysław Jelski, Stefan Lubomirski, Edward Orda, Aleksander Rembowski, Feliks Różyński, Władysław Słonczyński, August Sztolcman, Michał Siemiradzki, Wiktor Stephan, Romuald Wielkowski, Józef Zarembski i wielu innych. Kilku z tych pisarzy zapisało się niezniszczalnymi literami w fachowej i pięknej literaturze łowieckiej.

Kierownikiem artystycznym pisma został wysokiej klasy artysta malarz — monachijczyk, Franciszek Ejsmond, administratorem Józef Zarembski, a sekretarzem redakcji na długie ćwierć wiecze (od 1902 roku) Jerzy Oreański.

Czołowymi artykułami, które znajdujemy na 16 stronach 1-go numeru są: „Parę uwag o hodowli zwierzyny" K. Albusa, łowczego lasów Krzeszowickich, „Polowania na dziki w Różance" J. Sztolcmana, „Nadużycia w handlu zwierzyną" S., „O próbowaniu broni śrutowej" W. Słonczyńskiego, „O pochodzeniu psa" A. Sztolcmana, „Pierwsza Warszawska Wystawa Łowiecka", „Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa" i inne.

Jak widać z tego zestawienia bolączki łowiectwa i tematy, które należało na łamach prasy myśliwskiej poruszać, bardzo mało odbiegały przed pół wiekiem od tych, które dziś zapełniają szpalty naszego pisma.

„Łowca Polskiego" drukowano początkowo w drukarni E. Skierskiego, następnie w „Towarzystwie Wydawniczo-Artystycznym". Cena numeru w pierwszym roku wydawniczym i następnych wynosiła 30 kopiejek za numer, a prenumerata roczna 6 rubli.

Warto jeszcze zaznaczyć, że ogłoszenie w numerze l-m „Łowca Polskiego" umieściła, między innymi, do dnia dzisiejszego istniejąca F-ma W. Łastowski (wypychacz ptaków).

W ciągu następnych 16-tu lat „Łowiec Polski" rozwijał się coraz piękniej, pogłębiał fachowość, zyskiwał mir we wszystkich trzech zaborach Polski. W ciągu tych lat współpracę swoją wnieśli między innymi, ludzie w literaturze i publicystyce ważcy, jak: W. Gąsiorowski, A. Jelski, A. Śliwiński, K. Dębicki, W. Korsak (w roku 1905), A. Mniszek, J. Wojniłowicz, S. Czosnowski, W. Gürtler (od roku 1911), S. Zaborowski i A. Rzewuski (obaj od roku 1912), T. Metzig (od roku 1913, J. Weyssenhoff, J. Ejsmond (obaj od roku 1914).



Redaktor Jan Stolcman

W roku 1908 „Łowiec Polski" przeniesiony został z tymczasowego lokalu do siedziby Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, na ul. Nowy Świat 35, gdzie po latach 40-tu, w roku 1948, odrodził się znowu z popiołów po straszliwej nawałnicy dziejowej.

Ostatni numer (15) z 1914 roku wyszedł dnia 1-go sierpnia. Treść jego niczym nie zdradzała zbliżającej się zawieruchy wojennej, w przeciwieństwie do nr. 937 z 1939 r., który mówił wyraźnie, że jest na długie lata numerem ostatnim.

Wybuch I-szej wojny światowej przerwał wydawanie „Łowca Polskiego" na lat 9.

1923 — 1939.

W dwa miesiące po zawiązaniu w Warszawie Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, w dniu 7.IX.1923 roku, Zarząd zdecydował wznowienie wydawania „Łowca Polskiego", jako miesięcznika i swojego oficjalnego organu.

Wybitną pomoc finansową okazali w tej imprezie Kol. Stanisław Lilpop i Wacław Sperling.

Na redaktora powołano ponownie Jana Sztolcmana, do Komitetu Redakcyjnego weszli: Józef Weyssenhoff, Włodzimierz Korsak, Janusz Domaniewski, Feliks Różyński, Stanisław Lilpop, Jan Morstin, Kazimierz Świderski i Stanisław Gaczeński.

Pierwszy numer „Łowca Polskiego", z winietą również Juliusza Fałata (Osacznik grający na rogu), ukazał się, jako miesięcznik w dniu 1 stycznia 1924 roku i zawierał: Odezwę od Redakcji, artykuły: A. Wysockiego—„Zrzeszajmy się", F. Różyńskiego—„Z Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich", B. Świętorzęckiego — „Głuszec", J. Sztolcmana — „Przeszłość i przyszłość żubra", Wł. Słonczyńskiego— „Rzut oka na stan przemysłu broniowego po wojnie", J. Domaniewskiego—„Przegląd polskiej literatury łowieckiej". Feljeton: „Obrazki myśliwskie"— Stanli.

Redakcja i administracja mieściły się przy ul. Nowy Świat 35. Format pisma pozostał ten sam, drukowano go w drukarni „Nakładowej". Cena pisma wynosiła — mk. p., a w związku z dewaluacją dochodziła do —— mk. p., nakład nie przekraczał 1000 egzemplarzy.

W następnym roku 1925 „Łowiec Polski" został przekształcony, jak przed wojną, na dwutygodnik, a w roku 1926 został połączony z „Przeglądem Myśliwskim" i „Łowiectwem Polskim" i stał się jedynem pismem łowieckim w Warszawie. Na redaktorów wybrano: Jana Sztolcmana i Juliana Ejsmonda.

Julian Ejsmond, młody, obiecujący poeta, obdarzony prawdziwym talentem, staje się świetnym nabytkiem dla „Łowca Polskiego". Jego poezje, bajki, czy wspomnienia myśliwskie, to prawdziwe perełki stylu, wdzięku, potoczystości języka i łatwości rymowania. Prace Ejsmonda stają się ozdobą pisma i przyciągają licznych prenumeratorów. Komitet Redakcyjny zasilali ponadto swymi pracami: Władysław Słonczyński, Herman Knothe i Wacław Sperling. Cena numeru wynosiła w roku 1925 zł. 1.—.

W ciągu następnych trzech lat przystępują do współpracy w „Łowcu Polskim": Włodzimierz Garczyński (od 1924 r.), Adam Rzewuski i Stanisław Zaborowski (obaj ponownie), dr. prof. M. Niezabitowski, Franciszek Unrug (od 1925), Władysław Czerniejewski, Józef Gieysztor, Władysław Janta-Połczyński, Stefan Krzywoszewski, gen. Antoni Kuczewski, Bolesław Świętorzecki (od 1926) oraz Edward Krasiński i Stanisław Błonarowicz (1927).

Od roku 1927 długoletni sekretarz, Jerzy Oreński, obejmuje Administrację „Łowca Polskiego".

29.IV.1928 r. spotyka nasze pismo wielki cios, umiera bowiem Redaktor Jan Sztolcman, wielki przyrodnik i teraz już światowej sławy uczony, który prze lat blisko 30 był duszą i sercem łowiectwa polskiego oraz jego wydawnictw i publikacji. Zasługi położył niezniszczalne, pamięć zostawił trwałą. To też w dwadzieścia lat po jego śmierci, główna sala w odbudowanej siedzibie Polskiego Związku Łowieckiego przy Nowym Świecie 35, została nazwana jego imieniem.

Jan Sztolcman był autorem szeregu prac, z których jako najcenniejsze należy wymienić: „Łowiectwo", „Nad Nilem niebieskim", „Peru" oraz wydane przez Zoological Society of London „O dymorfizmie płciowym".

Na miejsce nieodżałowanego Jana Sztolcmana Zarząd Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich powołuje jako redaktorów Juliana Ejsmonda i Walentego Włodzimierza Garczyńskiego.

W. W. Garczyński nie odznaczał się ani błyskotliwością stylu, ani niefrapującą lekkością pióra, ale głęboka znajomość i umiłowanie przedmiotu i niezmiernie logiczny sposób myślenia, oraz prosty i jasny sposób wyrażania tego co czuje, ugruntowały jego nazwisko jako czołowego pisarza łowieckiego w bardzo szybkim czasie i na stałe.

Następne lata są dla „Łowca Polskiego" latami bardzo ciężkimi. Fala ogólnoświatowego kryzysu przebiega przez Polskę. Pismo łowieckie, jak i inne pisma, walczy z tysiącem trudności finansowych. Daje się też odczuwać brak kolegów do współpracy, zajętych swojemi kłopotami materialnymi. Szczęśliwie kilku entuzjastów spraw łowieckich prywatnymi dotacjami ratuje pismo od kompletnego upadku.

W roku 1929 „Łowiec Polski" okrywa się po raz drugi żałobą. Odchodzi bowiem Julian Fałat, wieloletni artystyczny współpracownik naszego pisma. Nr. 50 z dnia 15 grudnia 1928 roku, poświęcony twórczości artysty na tematy łowieckie, wychodzi jeszcze za jego życia. Ofiarowane do opublikowania po raz pierwszy fragmenty z pamiętników Fałata z Nieświeża, ukazują się w naszym piśmie, niestety, po śmierci wielkiego malarza.

Wydany dnia 1.IV.1929 numer humorystyczny „Łowca Polskiego", jest kapitalnym zupełnie osiągnięciem. Nowele Kornela Makuszyńskiego, Zdzisława Kleszczyńskiego, Juliana Ejsmonda, znakomite parodie ustawy łowieckiej, niezrównane rysunki Kamila Mackiewicza, dowcipne fotomontaże i parodie ogłoszeń — dziś jeszcze mogą być przez każdego myśliwego czytane z prawdziwym zainteresowaniem i serdecznym śmiechem.

W roku 1930 wchodzą do Komitetu Redakcyjnego: Bohdan Gędziorowski, Ignacy Grymiński, Witold Kiltynowicz. Ukazują się też świetne artykuły, wiersze i humoreski Władysława Zabiełły, Juliusza Wirskiego i Edwarda Niedziałkowskiego.

W dniu 13.III.1930 r. Julian Ejsmond opuścił na własną prośbę stanowisko Redaktora „Łowca Polskiego", zasilając jednak nadal pismo swojemi pracami. Niedługo potym, w lipcu 1930 r., Julian Ejsmond zginął w tragicznej katastrofie samochodowej pod Zakopanem.

Świat łowiecki okrył się po raz drugi ciężką żałobą.

Piękną, jak poezja prozą, tak scharakteryzował Julian Ejsmond duszę naszych pisarzy łowieckich:

...Weyssenhoff — jak dąb królewski, koroną dostojną szumiący pieśń o tajemnicach puszczy,

jak zielony dąb odwieczny, nieśmiertelny z ziemi naszej soki czerpiący, a czołem nieba sięgający . . .

. . . Zaborowski — niezrównany poeta kniei, z którego dzieł nieśmiertelnych nauczyłem się miłości łowiectwa. Wieszcz, który rzucił ongi myśliwski czar na moją duszę jeszcze dziecięcą...

. . . Ks. Niedbał — wielki spowiednik boru, znawca najskrytszych tajemnic kniei . . .

Tak pisał o duszach największych naszych myśliwych Ejsmond. Dziwnym kaprysem losu



Redaktor Juljan Ejsmond

dusza jego odeszła w zaświaty przed tymi, o których tak piękne kreślił słowa. Ejsmond zmarł w pełni sił w największym rozkwicie talentu. Odszedł jako ten, który, jak nikt inny potrafił odczuć i oddać piórem dwie największe miłości na świecie, miłość do dziecka i miłość do przyrody.

Rok 1930/31 stał się wogóle rokiem żałoby w świecie łowieckim: zmarł bowiem Władysław Czerniejewski, którego wspomnienia myśliwskie z 4-ch części świata zapełniały często łamy „Łowca Polskiego", zmarł Zdzisław Kleszczyński, wykwintny pisarz, świetny nowelista łowiecki, autor dowcipnych felietonów.

Samodzielnym redaktorem „Łowca Polskiego" od roku 1930 zostaje Walenty Włodzimierz Garczyński, kierując następnie pismem bez przerw aż do września 1939 r.

Organ Związku rozwija się coraz lepiej. Konkursy fotograficzne dają sporo poważnego materiału, rozwija się dział kynologiczny, drukowane są ciekawe wspomnienia z wypraw podróżniczych i myśliwskich (Cz. Pieniążek — Abisynia, J. Koźmian i inni).

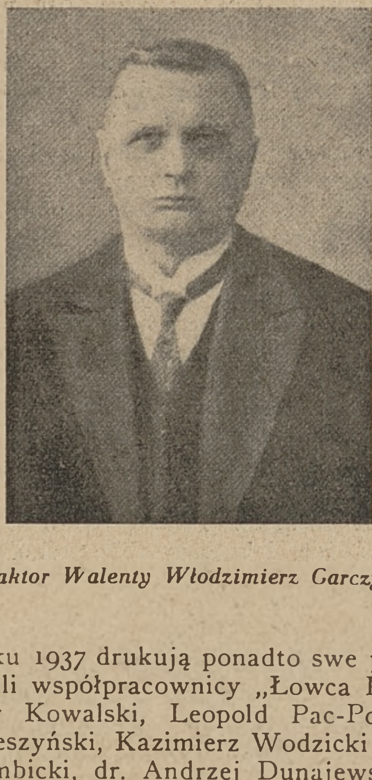
W roku 1934 zostaje wydany w pięknej szacie zewnętrznej specjalny numer „Łowca Polskiego", poświęcony zjazdowi Conseil International de la Chasse w Warszawie. Okładkę barwną do tego numeru (Głuszec na toku) wykonał z wielkim artyzmem Jerzy Dylewski.

Cennymi współpracownikami pisma stają się w owym czasie Włodzimierz Lindeman, gen. Walery Marjański, Tadeusz Śliwiński, Mieczysław Mniszek Tchorznicki. Na sekretarza redakcji powołany zostaje Władysław Zabiełło.

Ostatnie trzy lata istnienia „Łowca Polskiego" przed wojną, są latami wielkiego rozwoju naszego pisma. „Łowiec Polski" wychodzi co dekadę. Szata zewnętrzna, papier i klisze nie pozostawiają nic do życzenia. Drukarnia „Wyszyński i S-ka", która drukuje nasze pismo, wywiązuje się ze swego zadania doskonale. Cena pojedyńczego numeru wynosi nadal zł. 1.—.

Wysokiej klasy fotografie myśliwskie Włodzimierza Puchalskiego, W. Korsaka, Zofii Chomętowskiej, admirała M. Borowskiego, T. Markowskiego, inż. Woynickiego, W. Wysockiego, A. Dobrskiego, nie znajdują sobie równych w innych tego rodzaju zagranicznych pismach. Grafika Chrostowskiego, Bartłomiejczyka, Jakimczuka, Kirylenki i Fijałkowskiej jest znakomita.

Poziom prac fachowo - naukowo - łowieckich: W. W. Garczyńskiego, J. Gieysztora, Rektora T. Marchlewskiego, Michała Pawlikowskiego, Władysława Gürtlera, Tadeusza Śliwińskiego, Bolesława Świętorzeckiego, Stanisława Kamockiego, stawiają pismo na poziomie najwyższym. Balistyka gen. M. Marjańskiego, kpt. J. Podowskiego i W. Bląka jest również świetna, utwory beletrystyczne Stanisława Zaborowskiego (Afryka), Matjasa Garfinkla (Łosie i łososie), Adama Rzewuskiego, Włodzimierza Korsaka, Tytusa Karpowicza, Pawła Szumilasa, Jana Szczepkowskiego, Janusza Regulskiego oraz poezje Władysława Zabiełły i dr. Zofii Kelus-Lipkowskiej czynią pismo barwnym, ciekawym, aktualnym i bliskim sercu myśliwego.



Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński

Od roku 1937 drukują ponadto swe prace późniejsi stali współpracownicy „Łowca Polskiego" Zbigniew Kowalski, Leopold Pac-Pomarnacki, Jerzy Błeszyński, Kazimierz Wodzicki prof., Witold Ziembicki, dr. Andrzej Dunajewski, Stani-

sław Cenkier, Konstanty Komierowski, dr. inż. Leon Ossowski, Antoni Ossendowski, dr. Jan Sokołowski, Pierre Coche, Otton Sołtan.

Dnia 1.III.1937 r. umiera ks. Niedbał. „Łowiec Polski" poświęca wspomnieniu o tym poważnym pisarzu łowieckim, dłuższy artykuł.

Z okazji wystawy malarstwa łowieckiego w Zachęcie w Warszawie, zorganizowanej przez Polski Związek Łowiecki, „Łowiec Polski" wydaje specjalny numer, poświęcony motywom łowieckim w polskiej sztuce.

Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego" stanowią w latach 1937—1939 następujący koledzy: K. Czampe, J. Dylewski, J. Gieysztor, W. Kiltynowicz, H. Knothe, J. Kobylański, S. Leski, M. Mniszek Tchorznicki, prof. E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. Potocki, S. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. Rzewuski, J. Skrzypek, W. W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, W. Zabiełło, S. Zaborowski, J. Żabiński.

W roku 1938 „Łowiec Polski" okrywa się znów żałobą. Odchodzi najprzód znakomity znawca myślistwa wschodniego, Bolesław Świętorzecki, autor monografii głuszca i wilka, „Podstaw Łowiectwa", niepospolity przyrodnik i hodowca zwierzyny.

Niedługo w ślad po nim podąża Stanisław Zaborowski, lekarz z zawodu, a poeta wielkiego talentu. Zaborowski to pierwszy pisarz łowiecki, który potrafił oddać czar polowań wiosennych, określić urok włóczęgi z psem w skwarze dnia letniego, odtworzyć wspaniały obraz rykowiska jeleni w jesiennym lesie, oraz opowiedzieć o obławie na niedźwiedzie w zaśnieżonym borze. „W sercu kniei" pozostało na zawsze w sercach polskich myśliwych.

Nie doczekał, niestety, sędziwy autor ukazania się w druku swych wspomnień z wyprawy podróżniczej do Afryki. Druk tej pracy, rozpoczęty w „Łowcu Polskim" w roku 1939, przerwany został przez wybuch wojny, co gorsza rękopis „Afryki" spłonął w czasie bombardowania Warszawy jeszcze w 1939 roku i odtworzenie całości jest już dzisiaj niemożliwe.

Ostatni numer „Łowca Polskiego" przed wojną ukazał się 1 września 1939 r.

Podkreślić jeszcze należy, że w okresie 1926—1939, corocznie, początkowo pod redakcją J. Sztolcmana i Juliana Ejsmonda, a następnie W. W. Garczyńskiego wydawany był przez Polski Związek Łowiecki, „Kalendarz Myśliwski" o objętości 200 do 400 stron, ilustrowany i obejmujący wszechstronnie wszystkie działy i zagadnienia związane z łowiectwem.

1939 — 1944.

W czasie okupacji „Łowiec Polski" zostaje przez najeźdźcę, jak wszystkie periodyki i wydawnictwa, zawieszony. Poszczególni jednak członkowie Komitetu Redakcyjnego i współpracownicy piszą dalej. Piszą w nadziei, że praca ich zostanie wykorzystana dla dobra łowiectwa polskiego po zwycięskim zakończeniu wojny. Bowiem pomimo mroków okupacyjnych każdy z nas wierzył głęboko w odrodzenie Polski. Wiele z tych pisanych w czasie 1939 — 1944 artykułów i prac, jak: „Podstawy Łowiectwa" prof. J. Gieysztora, „Bezpieczeństwo na polowaniu" Z. Kowalskiego, „Monografia jeleni" T. Śliwińskiego, „Oologia ptaków łownych" M. Mniszek Tchorznickiego i inne, zostało już wykorzystanych, wiele zaginęło w pożodze powstania warszawskiego, wiele czeka jeszcze na ujrzenie światła dziennego w druku.

Pośród kolegów, którzy pisali o łowiectwie, nie brakowało naturalnie ostatniego redaktora „Łowca Polskiego", to też między pracami, które czekają na wydanie, czołowe miejsce zajmuje odnaleziony niedawno rękopis W. W. Garczyńskiego: „Nowoczesne łowiectwo".

Garczyński ciężko zaniemógł na serce w czasie okupacji. Choroba postępowała w błyskawicznym tempie. Walenty Włodzimierz, czując jakby zbliżający się koniec, a nie mogąc już chodzić o własnych siłach, zaprosił kolegów z Naczelnej Rady Łowieckiej na skromną herbatkę. Potem zaczął mówić, a tematem właśnie była przygotowana przez niego książka. Słuchaliśmy jak urzeczeni ważkich słów tego gasnącego człowieka.

Garczyński bowiem z niezmierną przenikliwością potrafił przewidzieć nadchodzące przemiany społeczne i gospodarcze, wskazać drogi, którymi winno kroczyć łowiectwo w demokratycznej Polsce, przedstawić zasady na których należy opracować ustawę łowiecką, opartą o nową rzeczywistość, oraz określić przyszłe zadania i cele Polskiego Związku Łowieckiego.

Niewielu z nas, którzy byli na Kredytowej w grudniowy dzień u Walusia, mają możność ocenić dzisiaj wielkość i głębokość jego umysłu.

W dwa miesiące potem, w lutym 1943 roku, odprowadziliśmy na cmentarz powązkowski Walentego Garczyńskiego. Odszedł cicho i skromnie, jak żył zawsze, nie szukając rozgłosu, ani zaszczytów, ale prawdy i pracy. Odszedł bodaj największy z naszych Polskich Myśliwych.

W uznaniu Jego wielkich zasług dla łowiectwa, sala redakcyjna „Łowca Polskiego", w nowoodbudowanej siedzibie przy Nowym Świecie nr. 35, nazwana została imieniem Walentego Włodzimierza Garczyńskiego.

1945 — 1948.

Wznowienie wydawania „Łowca Polskiego" stało się pierwszą troską Zarządu, a następnie Komitetu Wykonawczego odrodzonego w 1944 — 1945 r. Polskiego Związku Łowieckiego.

Niestety, skromne środki finansowe, jakimi nasz Związek z początku dysponował, pozwoliły jedynie na wydawanie odbijanego na powielaczu w ilości 300 sztuk „Biuletynu Informacyjnego— Łowiec Polski". Biuletyn, pod redakcją prof. Józefa Gieysztora, wychodził w czasie wrzesień-grudzień 1945. Łącznie ukazało się 4 numery tego pisma Związkowego.

Dopiero w 1946 r. na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego zostało zdecydowane wydawanie pod redakcją prof. J. Gieysztora organu oficjalnego Polskiego Związku Łowieckiego.

„Łowiec Polski” nr. 1 (938) ukazał się w druku w kwietniu 1946 roku. Szata zewnętrzna i format został zachowany, jak dawniej. Okładkę (łoś) projektował S. Chrostowski, drukowała drukarnia „Gryf” w Warszawie. Wydrukowano egzemplarzy 3000 (dziś nie ma już ani jednego egzemplarza poza redykcyjnemi).

Polskiego”, bezpłatnie. Cenę za pojedyńczy numer oznaczono początkowo na 25 zł., następnie na 35 zł.

Redakcja i administracja pisma mieściła się w mieszkaniu udzielonym przez kolegę J. Skrzypka, wiceprezesa Polskiego Związku Łowieckiego, w warunkach lokalowych takich, w jakich


ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 1 (938) Warszawa, Marzec Kwiecień 1946 r. Cena zł 35

karta tytułowa Łowca Polskiego Nr 1 w roku 1946.

Na treść tego nr. 1 złożyły się następujące artykuły: „Pamięci redaktora W. W. Garczyńskiego” J. Dylewski, „Na szlakach mitologii łowieckiej” prof. Ziembicki, „O przyszłość naszych sarn” K. Świderski, „Hauptman i Diadia Pud” Z. Kowalski, „Stosunek łowiectwa do ochrony przyrody” M. Mniszek Tchorznicki, oraz część informacyjną. Jako dodatek załączono pracę prof. J. Gieysztora „Podstawy łowiectwa”. Autorzy ofiarowali swe pierwsze artykuły do „Łowca

pracowali wszyscy, którzy pracować chcieli w Warszawie. W jednym małym pokiku urzędowało nas 10-ciu, stukały maszyny do pisania, a kol. Józef Skrzypek opracowywał w tym gwarze i rozgardiaszu swe kosztorysy budowlane.

Nakład dalszych numerów, których wyszło w roku 1946 sześć, szybko powiększył się do 5000 i 10.000 egzemplarzy. Przyjęto też pierwszą płatną sekretarkę, Janinę Stalkowską, niedługo potym ekspedientkę. W roku 1946 współpracował

w piśmie naszym, poza wymienionymi w nr. 1, Stefan Krzywoszewski.

W roku 1947 prenumerata „Łowca Polskiego" została postawiona na dawno już proponowanej przez działaczy Polskiego Związku Łowieckiego płaszczyźnie, a mianowicie: Walne Zgromadzenie Związku na posiedzeniu dn. 16.VI.46 uchwaliło, iż „Łowiec Polski" musi być otrzymywany przez wszystkich członków Związku. W tym celu opłatę za prenumeratę włączono do składki członkowskiej. Nakład naszego pisma wzrósł szybko do 15.000, a następnie do 25.000 egzemplarzy.

Pierwszy konkurs fotograficzny (lato 1946) daje szereg pięknych zdjęć. Pierwsze miejsce zajął bezapelacyjnie kol. W. Puchalski. Konkurs na opowiadanie, bądź nowelę myśliwską, przynosi 36 prac. Pierwszą nagrodę zdobywa Stanisław Hahn, drugą — Zbigniew Kowalski, trzecią — uczeń gimnazjalny W. Fafiński.

W roku 1946/47 współpracę swą ofiarowali Kol. Kol.: Leon Rzyszczewski, Władysław Łatkiewicz, Henryk Zapolski-Downar, Jan Szczepski, Józef Goetz, Włodzimierz Korsak, Jan Marchlewski, Tadeusz Śliwiński.

„Łowiec Polski" drukowany był początkowo w drukarni „Gryf", następnie w Wojskowym Instytucie Geograficznym.

Od 1 stycznia 1948 roku sytuacja „Łowca Polskiego" stabilizuje się ostatecznie. Pismo zostaje przekształcone na miesięcznik, redakcja przeniesiona na dawne śmiecie przy ul. Nowy Świat 35. Na stanowisko Zastępcy redaktora wchodzi kol. Zbigniew Kowalski. Administrację obejmuje płk. W. Rozwadowski, dyr. biura Polskiego Związku Łowieckiego, sekretariat — Róża Ocetkiewiczowa, ekspedycję — Janina Bartoś oraz Edward Majewski.

Zostają zakupione najnowsze maszyny, jak adresowa (Adrema), segregatory i inne.

Biblioteka przy „Łowcu Polskim" zostaje dopełniona i skatalogowana, wykazując 250 tomów zebranych i zakupionych w ciągu 2 lat. Prowadzenia biblioteki podejmuje się znany bibliofil, kpt. Józef Kobylański.

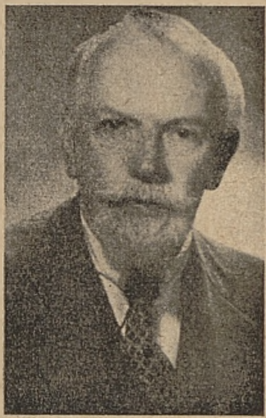
Pismem naszym intersuje się specjalnie Protektor Polskiego Związku Łowieckiego, Marszałek Polski, Michał Żymierski, dając kilkakrotnie wskazówki co do kierunku i szaty zewnętrznej „Łowca Polskiego".

Nakład organu oficjalnego Polskiego Związku Łowieckiego wynosi 25.000 egzemplarzy, z tem jednak, że od półrocza przechodzimy na 30.000 egzemplarzy, jak to zresztą uchwaliło Walne Zgromadzenie w dniu 26.X.47.

Nr. 7 (956) i 8 (957) z roku 1948, jako numer podwójny został poświęcony specjalnie 25-leciu Polskiego Związku Łowieckiego.

Jako odbitki z „Łowca Polskiego" zostały wydrukowane następujące prace: J. Gieysztor „Podstawy Łowiectwa", Z. Kowalski „Bezpieczeństwo na polowaniu i obchodzenie się z bronią", M. Mniszek Tchorznicki „Podstawy etyki łowieckiej" oraz T. Śliwińskiego „Jeleń".

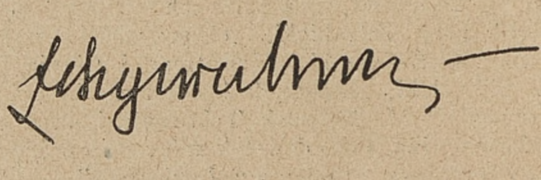
Największą trudność, jaką „Łowiec Polski" miał do pokonania w pierwszych latach po wznowieniu z 1946 roku — to kolportaż pisma. Na zdezorganizowanej jeszcze, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych, poczcie, poszczególne numery ginęły masowo, do odbiorców dochodziło zaledwie 10 do 20% wysyłanych numerów.



Redaktor Prof. Józef Gieysztor

Ten stan rzeczy spowodował, że „Łowiec Polski" został od roku 1948 dostarczany bezpośrednio łowczym powiatowym, którzy go, za zwrotem kosztów przez administrację pisma, kolportowali dalej w terenie do członków Polskiego Związku Łowieckiego. Sposób ten jednak okazał się też niepraktyczny, pismo dochodziło bowiem do prenumeratorów ze zbyt wielkim opóźnieniem. To też w roku bieżącym powróciliśmy z powrotem do sposobu właściwego i „Łowiec Polski" rozsyłany jest znów do kolegów w terenie indywidualnie.

Patrząc się dzisiaj z perspektywy lat 50-ciu na „Łowca Polskiego", którego 1000 numer ukaże się niezadługo, widząc, że przetrwał on zwycięsko przez dwie wojny, inflację, kryzysy gospodarcze i moralne, że propagował bez względu na trudności i na przeciwne prądy zasadę prawidłowego łowiectwa i etycznego myślistwa, że utrwalił w społeczeństwie pojęcie, ie łowiectwo stanowi bogactwo narodowe, że wciągnął do naszych szeregów nie tylko wybranych, ale całą szarą brać myśliwską, że krzewił piękną literaturę łowiecką i nauki przyrodnicze — możemy sobie z całym spokojem powiedzieć, że pismo nasze spełniło dobrze nałożony nań przez założycieli i redaktorów obowiązek.



JÓZEF GIEYSZTOR.

ŁOWIECTWO W SZTUCE.

Łowiectwo, podobnie jak każdy przejaw życia zbiorowego, posiada aspekt wieloraki. Jest częścią gospodarstwa narodowego, jest szkołą sprawności fizycznej, źródłem rozkoszy dla myśliwych z przyrodzenia, a wypoczynkiem dla przeciętnego mieszczucha, dając mu możność oderwania się od monotonii życia codziennego, jest wreszie czynnikiem wyrobienia obywatelskiego, zmuszającym do podporządkowania swoich osobistych zachcianek nakazom dobra publicznego i etyki w stsunku do zwierzyny i do towarzyszów broni.

Ponadto swoiste warunki otoczenia związanego z łowiectwem, ścisłe obcowanie z przyrodą, obserwacja zwierząt w stanie dzikiego bytowania, spotkania z typami ludzi odmiennymi od powszednich — stało się źródłem natchnienia dla artystów pióra, pędzla i dłuta. Bez łowiectwa bylibyśmy pozbawieni wszystkich tych utworów fantazji i talentu, którymi poszczycić się może ludzkość, poczynając od mitów antycznych o Dianie i legend o Św. Hubercie, do współczesnej świetnej literatury łowieckiej oraz wspaniałych dzieł malarstwa i rzeźby na tematy myśliwskie.

Pierwsze zabytki sztuki, odtwarzające zwierzęta łowne, sięgają okresu paleolitycznego (czyli kamienia łupanego), obliczanego na 15 — 30 tys. lat przed naszą erą. Są to rysunki ryte na skalistych ścianach jaskiń i napuszczane później ochrą, kredą, lub sadzą, zmieszanemi dla trwałości z żywicą. Wyobrażają one mamuty, nosorożce włochate, reny, bizony i jelenie—zwierzęta współczesne tej epoce. Znaleziono ryty te w stanie najlepiej zachowanym we Francji i w Hiszpanii. W późniejszym, neolitycznym okresie (kamienia obrobionego), na 5 do 15 tys. lat przed Narodzeniem Chrystusa, spotykamy już całe sceny myśliwskie, np. jelenie ścigane przez myśliwca, rzucającego oszczepem, albo — jak w rytach egipskich — polowanie na ptactwo wodne na Nilu.

Z biegiem czasu, kiedy łowiectwo z roli głównego dostawcy mięsa i skór przeszło na rolę zaprawy rycerskiej, następnie na zabawę dworów królewskich i książęcych, a wreszcie udostępniona została szerokim warstwom siedzącej na roli szlachty, tematy z życia łowieckiego poczęły interesować coraz to szersze koła ludzi. Znalazło to oddźwięk w twórczości malarskiej, a później rzeźbiarskiej, coraz częściej sięgających do tego wdzięcznego źródła natchnienia, bo kryjącego w sobie tworzywa dla najrozmaitszych kierunków plastyki: krajobraz i sceny rodzajowe, barwa i ruch, człowiek i zwierz.

Polska, wskutek swych naturalnych warunków geoklimatycznych, jak również wskutek zahamowania rozwoju kultury materialnej, spowodowanego długoletnią niewolą pod zaborami, za-



J. Chełmoński *Kuropatwy*

chowała dłużej od innych krajów Europy Zachodniej i Środkowej charakter kraju nieprzeobrażanego jeszcze w jednolity obszar przekulturalnionego warsztatu rolniczo-leśnego. Dzięki temu „szczęściu w nieszczęściu", w Polsce zachował się stan zwierzyny o rozmaitości gdzieindziej niespotykanej, to też łowiectwo było u nas uprawiane w stopniu większym niż na Zachodzie, a w związku z tym i sztuki plastyczne, mające łowiectwo za temat, biły u nas tempem żywszym.

Aby zjawisko to unaocznić, z inicjatywy Polskiego Związku Łowieckiego, zorganizowana została w 1937 r. w salach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, wielka wystawa obrazów i rzeźb pod hasłem „Łowiectwo w sztuce".

Wystawę podzielono na dwa działy: retrospektywny i współczesny. Otóż podział ten uwydatnił bijącą w oczy różnicę pomiędzy starszym a dzisiejszym pokoleniem artystów: obrazy łowieckie z drugiej połowy XIX w. tętnią życiem, porywają widza sentymentem i rozmachem, zdradzają dokładną znajomość psychiki myśliwego, oczarowują wnikliwym wczuciem się w krajobraz łowiecki i zgłębieniem przejawów instynktu zwierzyny.

Takie dzieła, jak: „Napad wilków" i „Kuropatwy w zamieci śnieżnej" J. Chełmońskiego, „Wynoszenie niedźwiedzia z kniei" J. Fałata, „Wilk"—A. Wierusz-Kowalskiego, „Wyciąganie dzika z jaru" i „Napad wilków na stadninę" J. Brandta — nie mają sobie równych w malarstwie łowieckim świata.

Do tejże plejady wielkich artystów pędzla, bliskich sercu myśliwego, należeli w tym pierwszym okresie: J. Kossak („Rok Myśliwca"), M. Gierymski („Polowanie w XVIII w."), M. Wywiórski („Kaczory"), J. Chełmoński („Z chartami"), K. Mackiewicz („Trębacz"), H. Weyssenhoff („Łoś na moczarach") itd.

Prace młodszego, współczesnego pokolenia malarzy, acz często bardzo dobre w wykonaniu, bez zarzutu w rysunku, pięknie odtwarzające krajobraz—zdradzają brak znajomości tajników duszy myśliwego i zwierzyny. Sprawia to, iż dzieła te bawiąc oko, nie poruszają jednak w widzu-myśliwym strun najtajniejszych, czynią z niego tylko obserwatora, nie współuczestnika przeżyć malarza. Przyczyna tego stanu rzeczy kryje się w oderwaniu olbrzymiej ilości naszej młodzieży od życia na wsi, zadomowieniu się w miastach i utraceniu kontaktu żywszego z myślistwem. I acz piękno krajobrazu puszczańskiego czy stepowego oraz natury żywej skłania część młodzieży artystycznej do sięgnięcia po tematy myśliwskie, to jednak niemożność zetknięcia się bezpośredniego z knieją i atmosferą łowiecką, pozbawia utwory ich nerwu myśliwskiego.



F. Eysmond — *Po powrocie z polowania*

W uwzględnieniu tego właśnie układu stosunków zamieściłem jeszcze w 1939 r. w „Łowcu Polskim” odezwę, wzywającą brać myśliwską do systematycznego zapraszania młodzieży studiującej w naszych Akademiach i Szkołach Sztuk Pięknych na polowania, względnie na czasowy pobyt w obwodach łowieckich, aby umożliwić w ten sposób zetknięcie się jej ze zwierzyną na tle właściwego dla niej krajobrazu oraz poznanie atmosfery myśliwskiej, ujawniającej się podczas łowów.

Odezwa ta nie pozostała bez echa. Spowodowała ona kilkanaście zaproszeń młodych malarzy na polowania, zaś sąd konkursowy na wystawie „Łowiectwo w Sztuce” przyznał p. J. Dybowskiemu nagrodę P. Z. Ł. w postaci miesięcznego pobytu z całym utrzymaniem w lasach Starachowickich. Podobnież nagrody przyznano następnie kilku wyróżnionym wystawcom na wystawie Grafiki Myśliwskiej w Poznaniu w 1938 roku.

W dążności do rozbudowania malarstwa łowieckiego, Polski Związek Łowiecki wystąpił nawet w roli czynnego mecenasa sztuki, zamawiając trzy duże panneaux dekoracyjne dla wystawy Berlińskiej, mające przedstawić historię łowiectwa w Polsce. Złożyły się na nie: „Młody Krzywousty z rohatyną na niedźwiedzia”— Stefana Płużańskiego, „Stefan Batory polujący na żubra”— Stefana Daukszy i „Stanisław August z dworem w Białowieży”— Eugeniusza Chrościckiego. Dla braku miejsca w pawilonie polskim kartony te przekazano Białowieży.

Pozatem Sekcja Ochrony Łosia ogłosiła konkurs na plakat propagandowy, który w barwnych odbitkach rozrzucono szeroko po kraju.

Rozgorzała w 1939 r. potworna druga wojna światowa przerwała całą tę akcję Związku.

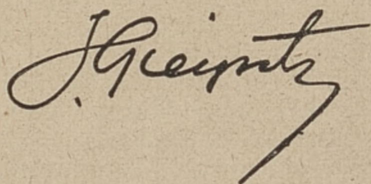
Pomimo zastrzeżeń sformułowanych wyżej, wystawa w Warszawie ujawniła wśród współczesnego pokolenia artystów szereg wybitnych indywidualności z zakresu malarstwa łowieckiego, jak o tem świadczy przyznanie 10 nagród pieniężnych i tyluż honorowych odznaczeń.

Do najcelniejszych utworów zaliczono prace: pp. S. Czajkowskiego („W dzień Św. Huberta”), S. Żukowskiego („Ciąg słonek”), A. Jakimczuka („Kaczory”), J. Kossaka („Św. Hubert”), S. Komaszewskiego, rzeźba („Macierzyństwo”), J. Ryszkiewicza („Odpoczynek w czasie polowania”), S. Dybowskiego („Jesienią”), A. Sarnowicza („Studia Żubrów”), S. Karniewskiego („Żubr”).

Do dzieła sztuki należy również fotografia artystyczna.

Aby ją poprzeć „Łowiec Polski” ogłaszał od szeregu lat konkursy fotograficzne na tematy z życia lasu, wód i pól, nagradzając prace wyróżnione i zamieszczając reprodukcje z nich na swych łamach.

Konkursy te ujawniły kilkunastu wybitnych artystów fotografii łowieckiej, z których wymienić należy: Wł. Korsaka, W. Puchalskiego, A. Wiśniewskiego, W. Wysockiego, A. Dobrskiego, Z. Chomętowską, adm. M. Borowskiego i t. d.



MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

WSPÓŁCZESNA LITERATURA ŁOWIECKA

Rozwój literatury łowieckiej daje się zauważyć od momentu, gdy społeczeństwo polskie zaczęło doceniać znaczenie łowiectwa.

Wprawdzie już wiek XVI i XVII przynoszą pierwsze pozycje w literaturze łowieckiej, ale rozwój jej datuje się właściwie od końca XIX wieku, a więc tego okresu, kiedy ukochanie łowów pobudza myśliwych do dalekich wypraw, kiedy to łowiectwo zaczyna być doceniane z punktu widzenia gospodarczego.

Wprawdzie już wiek XVI i XVII przynoszą pierwsze pozycje w literaturze łowieckiej, ale rozwój jej datuje się właściwie od końca XIX wieku, a więc tego okresu, kiedy ukochanie łowów pobudza myśliwych do dalekich wypraw, kiedy to łowiectwo zaczyna być doceniane z punktu widzenia gospodarczego.

Wraz z zahamowaniem rozwoju łowiectwa w roku 1914 przez wybuch wojny światowej, zostaje zahamowany i rozwój literatury łowieckiej. Ale po odzyskaniu niepodległości w r. 1918 zaczyna powoli odradzać się życie kulturalne łowiectwa. Z początku bardzo wolno, po tym coraz raźniej i bujniej.

Literatura łowiecka rozwija się w dwóch kierunkach: beletrystycznym i fachowym.

Pierwszy kierunek posiada jakby dwa podkierunki, a więc prace beletrystyczne, oparte tylko częściowo na motywach łowieckich, i prace, których główna akcja znajduje swój bieg w łowiectwie, lub wspomnienia myśliwskie i beletrystyka animalistyczna.

Do pierwszej zaliczyć musimy takie utwory, jak „Popioły"— Żeromskiego i inne. Właściwie większość utworów polskich pisarzy, piszących o życiu w Polsce, związana jest z łowiectwem. Objaw ten jest zupełnie zrozumiały, gdy weźmie się pod uwagę, że łowiectwo jest tak związane z życiem wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, iż trudno wyobrazić sobie powieść historyczną czy obyczajową z życia polskiego, pomijającą opisy łowów.

Drugi rodzaj beletrystyki łowieckiej, to powieści, których akcja toczy się na motywie łowieckim. Tu prym zasłużenie dzierży Józef Weyssenhoff z powieściami: „Puszczą" i „Sobolem i panną". Niedoścignione to ideały polskiej powieści myśliwskiej. Po nich idzie Wł. Korsaka: „Pieśń Puszczy", J. Bieniasza: „W puszczy nad Salatrukiem" i „Wilki wyją", Rodziewiczówny: „Lato leśnych ludzi" i kilka innych.

Wśród wspomnień myśliwskich na pierwszy plan wysuwają się wspaniałe w swej prostocie, piękną polszczyzną nakreślone, pełne głębokich myśli i wielkiej filozofii łowiectwa wspomnienia Stanisława Zaborowskiego, wydane po raz pierwszy w r. 1926, drugi raz w r. 1930 p. t. „W sercu kniei".

Otwierają one długi szereg wspaniałych opisów przygód, wspomnień i wrażeń łowieckich. Juliana Ejsmonda: „Moje wspomnienia myśliwskie", „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka", Stefana Badeniego: „Szczęśliwe dni", Mycielskiego Stanisława „W sercu dżungli", Włodzimierza Korsaka „Ku indyjskiej rubieży", Stefana Krzywoszewskiego „Z przeżyć i wrażeń myśliwskich", Czesława Pieniążka „W cesarstwie Menelika", Potockich Henryka i Józefa wspomnienia z Afryki, Jerzego z Indii, Sapiehy Leona „Lasy Ituri" i „Wulkany Kiwu" i długi szereg innych, których trudno wszystkich wyliczyć w krótkim szkicu. Wspomnienia myśliwskie — to bogata część naszej literatury łowieckiej.

Tematem związanym ściśle z łowiectwem są prace animalistyczne: Z. Bartkiewicza, J. Ejsmonda, A. Dygasińskiego, T. Sapieżyny, A. Żabińskiej, A. Fiedlera itd. Wreszcie tłumaczenia świetnych dzieł Curvooda, Grey Owla, H. Lönsa i innych.

Drugim kierunkiem literatury łowieckiej są dzieła fachowe. W tym dziale znajdujemy poruszone wszystkie zagadnienia związane z łowiectwem. Są dzieła obejmujące całokształt spraw łowieckich, jak: Krawczyńskiego „Łowiectwo", St. Kamockiego „Podręcznik łowiectwa", B. Świętorzeckiego „Podstawy łowiectwa oraz zarys teorii strzału śrutowego".

Są wspaniałe monografie łowieckie B. Świętorzeckiego: „Głuszec" i „Wilk", Wł. Korsaka „Cietrzew", A. Czudka „Głuszec w lasach śląskich", J. Dylewskiego „Lis", Wł. Gürtlera „Nasze skrzydlate drapieżniki", A. Mniszka „Jarząbek", J. Sokołowskiego „Drop w Polsce", Wł. Korsaka „Łoś", J. Sztolcmana „Żubr, jego historia, obyczaje i przyszłość", K. Wróblewskiego „Żubr Puszczy Białowieskiej", L. Pac-Pomarnackiego „O pardwie".

O historii łowiectwa w Polsce piszą: prof. Witold Ziembicki, Józef Wł. Kobylański, Władysław Gürtler, oraz niżej podpisany.

Ukazują się prace, traktujące niektóre specjalne zagadnienia, jak: J. Domaniewskiego „Myśliwy jako zbieracz", B. Dyakowskiego „O dawnych łowach i dawnej zwierzynie", F. Rożyńskiego i E. Schechtla "Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju" i moc innych.

O kynologii pisze ks. Niedbał, Zarubin, o balistyce — Downar-Zapolski i gen. Mariański.

Istnieje jeszcze szereg prac naukowych z dziedziny zoologii, a specjalnie ornitologii oraz z dziedziny ochrony przyrody, które trudno tu wymienić, a które ściśle związane są z fachową literaturą łowiecką.

I jak we wszelkich przejawach życia kulturalnego polskiego, tak i tu wypadki r. 1939 przerywają ten rozwój literatury łowieckiej.

Ale mija okres wojny i znów przed literaturą polską otwierają się wielkie możliwości.

Wśród wielu myśliwych byli tacy, którzy okresu wojennego nie zmarnowali. Pracowali oni nad pogłębieniem swych wiadomości i pisali. Ś. p. Andrzej Dunajewski napisał wspaniałą pracę p. t. „Zoologia łowiecka" (niestety spaliła się), J. Domaniewski „Ornitologię łowiecką", P. Sumiński „Monografię cietrzewia", K. Świderski przetłumaczył z niemieckiego pracę o bażancie.

Wiem, że w czasie wojny, w Anglii ukazało się kilka rzeczy myśliwskich, ale co, kto napisał i gdzie wydał — nie wiem.

W czasie okupacji jeden z autorów wydał maleńką broszurę łowiecką na powielaczu.



J, Andriolli Urodzony Jan Dębosóg (Ilustracja)

Wreszcie mija okropny okres wojny.

Wolność! Niepodległy byt i możność pracy oraz wydawania.

Kiedy po pierwszej wojnie światowej, w okresie pierwszych trzech lat, ukazały się 4 (dosłownie cztery) prace z dziedziny łowiectwa, to w trzy lata po drugiej wojnie — bibliografia prac łowieckich ma 60 pozycji do zanotowania.



J. Kossak *Rok Myśliwca*

Wprawdzie większość z nich — to nowe wydania przedwojennych wydawnictw beletrystycznych, ale i znajdują się w tym spisie całkiem nowe pozycje, jak: prof. Józefa Gieysztora „Podstawy łowiectwa", Wiesława Krawczyńskiego „Poszumy lasu", Zbigniewa Kowalskiego „Wspomnienia myśliwskie", niżej podpisanego „Oologia ptaków łownych" i kilka innych.

Ukazanie się na powojennym rynku wydawniczym w ciągu trzech lat aż 60 pozycji myśliwskich świadczy o wielkiej atrakcyjności tematu i o wielkim zapotrzebowaniu na książkę łowiecką. Czyż można się dziwić...

Z jednej strony wielu myśliwych chce się uczyć zasad prawidłowego i etycznego łowiectwa, a z drugiej wielu, nie mogąc polować, pragnie czytając rzeczy łowieckie — przeżywać wspomnienia, nie polując.

Przed wojną obserwowano dziwny objaw.

Choć łowiectwo stało wysoko w Polsce, nie było chętnych nabywców na książki myśliwskie. Już to, że „Łowiec Polski"— organ Związku rozchodził się w 2000 egzemplarzy przy 50.000 polujących — ma swoją wymowę.

Dzisiaj jest inaczej. Książka myśliwska ledwo się ukaże, już jest rozchwytana.

Miejmy nadzieję, że zjawisko to nie jest przemijające, a wówczas rozwój literatury łowieckiej przedstawia się jak najkorzystniej.

Gdy mowa o współczesnej literaturze łowieckiej, nie można pominąć pism łowieckich.

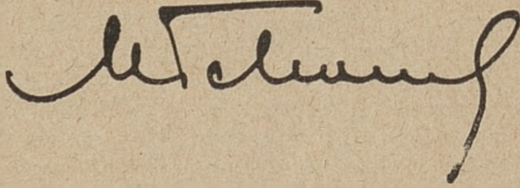
Przed drugą wojną światową istniał „Łowiec Polski", jako organ naczelnej organizacji łowiectwa polskiego. Inne pisma były pismami regionalnego łowiectwa, jak „Łowiec" wychodzący we Lwowie, czy „Myśliwy Wielkopolski" w Poznaniu.

Wysoki poziom tych pism zarówno pod względem treści, jak i wyglądu, wskazywał na zrozumienie potrzeby piśmiennictwa łowieckiego w Polsce.

Istniał jeszcze dodatek łowiecki do „Słowa" w Wilnie, p. t. „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie". Przez pewien okres, konserwatywny „Czas" oraz wojskowy organ „Polska Zbrojna" wydawały również dodatki łowieckie. Organ leśników „Echa Leśne" też wydawał stały dodatek, jak również „Niwa Leśna".

Z tego krótkiego i bardzo pobieżnego szkicu widzimy, że choć stale skarżyliśmy się i skarżymy, zresztą słusznie nau bogość naszej literatury łowieckiej, to sprawa ta nie przedstawia się tak beznadziejnie. Wprawdzie daleko nam do poziomu i ilości wydawnictw niemieckich, ale pocieszmy się, że równie daleko naszym myśliwym do „wysokiego poziomu" niemieckich kulturalnych myśliwych, strzelających w krajach okupowanych do bażantów przy paśnikach.

Krótki ten szkic uzupełni doskonale opracowana bibliografia łowiecka, przygotowana do druku przez inż. Danka i Grochowskiego. Wypełni ona wielką lukę w naszym piśmiennictwie łowieckim i życzyć należy myśliwym, by ukazała się ona jak najszybciej ku chwale polskiego łowiectwa.



ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI.

Rzut oka na hodowlę psa myśliwskiego w Polsce

W dwudziestopięciolecie działalności Polskiego Związku Łowieckiego, nie od rzeczy będzie wspomnieć o hodowli psa myśliwskiego, tego wiernego towarzsza i najbliższego współpracownika naszej braci myśliwskiej.

W okresie, poprzedzającym przedostatnią wojnę światową, hodowla psa myśliwskiego postawiona była już na dość wysokim poziomie. Nie była jednak jednolita, gdyż myśliwi polscy, uprawiający łowiectwo w trzech oddzielonych od siebie połaciach kraju, przedstawiających nieraz zupełnie odmienne łowiska, posługiwali się psami, które w danych terenowych były najodpowiedniejsze do wyszukiwania miejscowej zwierzyny. Nie mogąc stworzyć jednolitej dla całej Polski organizacji kynologicznej, materiał hodowlany czerpano z terenów państw zaborczych, i w ten sposób ulegano obcym wpływom hodowlanym.

Na terenie zaboru pruskiego hodowano psa niemieckiego, jako najbardziej nadającego się do wymagań tamtejszych myśliwych, będących pod wpływem i urokiem łowiectwa niemieckiego. Ten sam objaw spotykaliśmy również w byłym zaborze austriackim, choć może w nieco zmniejszonym stopniu.

Wyjątek stanowiła jedynie Kongresówka, gdzie hodowla obejmowała znacznie szersze horyzonty, gdyż obok powszechnie występujących odmian, zdradzających pochodzenie dawnych ras polskich i ras niemieckich, zaczęto w coraz to większym stopniu używać wyżłów ras francuskich i belgijskich, a w ostatnich dziesiątkach ubiegłego stulecia prawdziwi miłośnicy psa myśliwskiego przerzucili się na hodowlę psa angielskiego.

Na urządzanych wystawach, organizowanych przez Towarzystwo Prawidłowego Polowania w Warszawie, na początku bieżącego stulecia, wyżły ras angielskich reprezentowane są w bardzo pokaźnej ilości, a na urządzanych próbach polowych, widzimy już bardzo dużo cennego materiału, wśród którego wyżły angielskie takich hodowców jak: Saenger, Herman, Łowszyn i innych, górują swoimi zaletami nad wyżłami ras niemieckich i nad psami krajowego pochodzenia, zyskując sobie coraz to więcej zwolenników. Rozwijającej się pięknie hodowli, kładzie tamę wybuch pierwszej wojny światowej, po której pozostajemy z bardzo szczupłym materiałem hodowlanym, nadającym się do dalszej rozmnoży.

Z resztek tego materiału hodowlanego o wiadomym pochodzeniu, usiłujemy odbudować piękną ongiś hodowlę; lecz idzie to bardzo opornie. Dopiero dzięki inicjatywie Kol. St. Czerskiego, który zapoczątkował import pointerów ze Szkocji, wkraczamy na właściwe tory, gdyż potomstwo sprowadzonych psów o wysokich zaletach myśliwskich przedstawia się, jako wysoce cenny i użytkowy materiał. Pomyślny eksperyment hodowlany Kol. Czerskiego, pociąga za sobą i innych hodowców i niezależnie od dalszych importów ze Szkocji, zaczynamy sprowadzać psy i z innych źródeł, między innymi od znanego hodowcy berlińskiego Mana. To też w krótkim stosunkowo czasie na urządzanych w Warszawie wystawach widzimy piękne okazy psów ras angielskich, które stosownie do orzeczeń, sprowadzanych do sądzenia specjalistów zagranicznych, w niczym nie ustępują psom na innych wystawach światowych. W hodowli tej przodują koledzy Antoszewski, Grymiński, Brudnicki, Bielawski, Milewski i Przychodźko, których piękne okazy nagrodzone na wystawach, są zarazem pierwszorzędnymi psami myśliwskimi użytkowymi.

Że tak jest istotnie, świadczą wiosenne i jesienne próby polowe, które z roku na rok są coraz to liczniej obsyłane i na których coraz to więcej psów wykazuje niebywałą wprost tresurę i nadzwyczajne walory myśliwskie. W zawodach tych obok pointerów biorą udział wszelkie odmiany settera, walcząc ze zmiennym szczęściem o palmę pierwszeństwa.

Na jednej z takich prób sędziowie mają nielada orzech do zgryzienia, gdyż poziom psów okazuje się niebywale wysoki i aż pięć psów z klasy starszej wyeliminowano do nagrody pierwszej. By wysunąć kandydata na czoło tej grupy, trzeba było przeprowadzić jeszcze dodatkowe eliminacje, które odbyły się już parami i dopiero po szóstej próbie, pozwoliły na wysunięcie zwycięzcy („Ingo" Gędziorowskiego) id alsze uszeregowanie jego rywali.

Tresurę psów prowadzą po gruntownych studiach amatorzy i przeszkoleni przez nich zawodowi treserzy, doprowadzając szkolony materiał nieraz do pełnej doskonałości. Niektóre postawione do próby psy mogą śmiało konkurować na próbach zagranicznych, dowodem czego służyć może pies Przychodźki „Joker", który jako zdobywca pierwszej nagrody w Polsce, uzyskuje później i pierwsze miejsce na próbach zagranicznych. Na terenie województw zachodnich, postępuje również hodowla wyżła niemieckiego. Na urządzanych staraniem wielkopolskich myśliwych próbach i pokazach widzimy z roku na rok znaczną poprawę materiału hodowlanego i podniesienie się jego użytkowności.

Rozrzuceni po kraju miłośnicy różnych ras psa myśliwskiego zaczynają się grupować, celem dalszego podniesienia hodowli w specjalne kluby, jak hodowców pointera, settera i wyżła niemieckiego.

Pięknie zapowiadającą się hodowlą, rokującą jaknajlepsze nadzieje na przyszłość, zaskakuje ostatnia zawierucha wojenna z jej niesamowitymi okropnościami, które zaznajamiają całe masy naszego społeczeństwa z prawdziwą psią dolą. Cóż mówić dopiero o psach. Podobnie jak ludzie stają się one przedmiotem powszechnego prześladowania, lepsze i wartościowsze egzemplarze



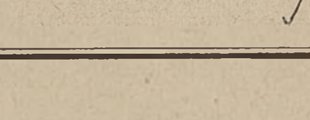
A. Wierusz Kowalski *Powrót z polowania*

podlegają rabunkowi przez niemieckich kolegów (!) myśliwych, wszystkie jednak pozostałe w kraju i uchowane cudownymi sposobami, cierpią głód, poniewierkę i brak należytej opieki.

Nic też dziwnego, że hodowla nasza wychodzi z ostatniej wojny w stanie wprost opłakanym i dziś, gdy wyżeł powinien znaleźć znacznie większe zastosowanie, aniżeli w okresie przedwojennym, nie mamy z czym polować, gdyż zdołaliśmy przechować jedynie bardzo nieliczne egzemplarze.

Z inicjatywy P. Z. Ł. ponawiamy próbę odrodzenia naszej hodowli przez import ze Szwecji, skąd sprowadziliśmy kilka dobrze zapowiadających się szczeniąt, i w tej samej sprawie nawiązujemy kontakty z hodowcami ze Związku Radzieckiego, od których mamy możliwości sprowadzenia cennego i pełnowartościowego materiału.

Mamy niepłonną nadzieję, że odradzająca się we wszystkich dziedzinach Rzeczpospolita Polska poczyni i na tym odcinku szybkie postępy, dla zrealizowania których powstały ostatnio Związek Kynologiczny w Polsce przyjdzie niewątpliwie z wybitną pomocą.



WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

O PRZYSZŁOŚĆ STRZELECTWA MYŚLIWSKIEGO

Strzelanie do ruchomych celów na strzelnicach i standach świata datuje się od długiego szeregu lat, zaś jeśli chodzi o strzelanie śrutowe, to przez dłuższy okres czasu stosowano t. zw. „tir aux pigeons" — strzelanie do żywych gołębi, zanim przyjęto, inny bardziej humanitarny sposób ćwiczenia w strzelaniu i odbywaniu zawodów, przez wynalezienie maszyn do wyrzucania szybko lecących celów t. zw. rzutków (talerzyków), zastępujących żywych ptaków.

Pomimo to, w niektórych krajach zawody standowe przy używaniu żywych gołębi przetrwały do najnowszych czasów, zwłaszcza we Francji, we Włoszech i w Belgii, co jednak nie jest godnym pochwały.

W Polsce rozwój strzelectwa standowego o charakterze zawodów sportowych datuje się przed ostatnią wojną od niewielu stosunkowo lat, a zawdzięczamy go inicjatywie podjętej przez Polski Związek Łowiecki, który powołał do życia w tym celu Komisję Główną Strzelectwa Myśliwskiego. Ta ostatnia położyła nacisk na propagandowy czynnik w piśmie i w słowie, wypracowała potrzebne regulaminy, wreszcie wybudowała w Warszawie (na Szczęśliwicach) odpowiadający miarze światowej nowoczesny stand w 1936 r., który stał się miejscem rozgrywek narodowych zawodów w strzelaniu do rzutków, oraz w strzelaniu kulowym do ruchomych sylwetek.

Z roku na rok przybywało chętnych zawodników, miłośników tego sportu, pojawiały się nowe talenty. Narodowe zawody w strzelaniu kulowym nie bywały liczebnie tak mocno obsyłane, jak również w strzelaniu śrutowym do sylwetki zająca, jak to miało miejsce specjalnie w strzelaniu standowym do rzutków.

Sport ten, a tem samem i zawody, stawały się w całym kraju coraz bardziej popularnymi, zyskując duże zainteresowanie przyglądających się zawodom widzów.

Jeśli chodzi o ćwiczenia i zawody w strzelaniu kulowym, to niemałą zasługę należy przypisać rozgałęzionemu w Polsce zrzeszeniu Bractwa Kurkowego, które wychowało i podciągnęło wzwyż odwieczne tradycje i upodobania w tym kierunku.

Znacznie efektowniejszą jest jednak gałąź strzelania do rzutków, która przede wszystkim zagranicą skupiała najwybitniejszych strzelców-myśliwych, miłośników polowań na ptactwo, dając pole nietylko do ćwiczeń, poprawiających wyniki, lecz także do popisów pod względem zdobytych umiejętności, wprawy oka i szybkości strzału. Wyłoniło się współzawodnictwo, walka o lepsze, aż w końcu sport ten podciągnięty został do konkurencji międzynarodowych.

Polska od niedawna stosunkowo przyjęła w nich udział, ale w krótkim czasie zwróciła na siebie uwagę, zdobywając poczesne, a nawet pierwsze miejsca w rozgrywkach pomiędzy uczestnikami zawodów wielu narodów, zarówno indywidualnie, jak i zespołowo.

Narodowe zawody grupowały najlepszych zawodników regionalnych, a od wyników indywidualnych na zawodach narodowych zależała eliminacja czołowej elity do konkurencji międzynarodowych.

Nie można pominąć milczeniem dużej zasługi, jaką położyła pod względem rozwoju tego sportu od r. 1935 Państwowa Wytwórnia Prochu „Pionki", która urządzała doroczne ogólnokrajowe zawody dla strzelców różnych klas. Na tych to zawodach, które od r. 1937 odbywały się według regulaminu Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego, przez stand przewijało się ponad stu zawodników, tworzyły się nowe kadry młodszych, przyszłościowych strzelców rzutkowych. Wzrastająca z roku na rok frekwencja strzela-



J. Chełmoński *Napad wilków*

jących na tych zawodach, miała wielkie znaczenie propagandowe na przyszłość, a osiągnięta ona została wskutek dużej liczebności nagród i odznaczeń, oraz przez bezpłatne dostarczanie zawodnikom nabojów, będących produktem wytwórni „Pionki".

Z inicjatywy tej wytwórni i przy obietnicy jej udziału finansowego w r. 1939, rozpoczęte były wstępne rozmowy i przygotowania w łonie Polskiego Związku Łowieckiego w kierunku szkolenia w strzelaniu do rzutków młodych adeptów, którzy wykazali talent w tym kierunku. Myśl ta nie została zrealizowana wobec wybuchu wojny, która nietylko ten problem pozostawiła przez długie lata otwartym, ale również rozproszyła dotychczasowych zawodników wszystkich trzech klas (mistrzowskiej i klasy A i B), zmusiła do milczenia ich strzelby przez 6—7 lat, ba, wytrąciła im bronie — „zrośnięte z ramieniem i okiem" — całkowicie z ręki.

Obecnie, w czwartym zaledwie roku odzyskanej niepodległości, po jakim takim unormowaniu się stosunków łowieckich i strzeleckich, rozproszeni zawodnicy zbierają się znów w całość, choć ze znacznemi lukami, a nowe władze Związku, wykazujące pod każdym względem tak wiele energii i organizacyjnej celowości, troszczyć się zaczęły między innemi o restytuowanie sportu standowego w strzelaniu do rzutków.

Zaczynamy od nowa. Narazie rozporządzamy niewielką grupą zawodników, ćwiczących się do pierwszych powojennych zawodów, ale za to z wielką radością konstatujemy, że z elity mistrzowskiej pozostali prawie wszyscy i stają do apelu.

Wymienię naszych asów w alfabetycznym porządku: Czerski Stanisław, Feill Roman, Jeziorański Witold, Kiszkurno Józef, Łyskowski Konstanty, Obutelewicz Tadeusz, Sztukowski Stefan, Zaleski Kazimierz i Ziegenhirte Wilhelm.

Z punktu widzenia przyszłości sportu strzeleckiego niezmiernie szczęśliwym jest fakt, że mogę tu wymienić te nazwiska. Zawodnicy ci, stanowiąc dziś podstawę naszych nadziei w konkurencjach międzynarodowych, będą jednocześnie tak pożądanym wzorem dla zawodników nowych, którzy nadejdą.

Ponieważ jednak w stosunku do innych państw europejskich, wcale lub mało wyniszczonych liczebnie i gospodarczo przez wojnę, jesteśmy w formowaniu kadr nowych zawodników i w ich szkoleniu znacznie spóźnieni, tym większy nacisk powinniśmy położyć na pośpiech w zorganizowaniu się oraz na środki i sposoby, któreby to zadanie mogły uczynić osiągalnym.

Powtarzam, że posiadamy szczęśliwy punkt wyjściowy — posiadamy elitę, która może zapoczątkować wejście Polski do konkurencji światowych, są to bowiem zawodnicy doświadczeni i opanowani, są to zwycięzcy wielu konkurencji krajowych i międzynarodowych, że przypomnę z tych ostatnich mistrzostwa światowe Kol. Kiszkurny (1931 i 1936), zwłaszcza te ostatnie przy niezwykle silnej konkurencji, w trudnych warunkach technicznych Wansee pod Berlinem, albo zdobyte I-sze miejsce zespołowe oraz mistrzostwo świata w r. 1938 w Czechosłowacji (Kiszkurno, Sztukowski, Łyskowski i Ziegenhirte — 731/800) i to zdobyte z wynikiem aż o 21 punktów wyższym przed Czechosłowacją, i o 46 punktów przed Węgrami, przy pozostawieniu na dalszych miejscach Francji, Szwecji i Szwajcarii. Zawodnicy ci, jak się okazało, do dziś jeszcze nie stracili swej formy i liczyć się z nimi będą musiały konkurencje innych narodów bardzo poważnie.

Ale... lata biegną i musimy mieć nowe, świeże rezerwy.

Sądzę, że za możnością zrealizowania tego zadania przemawia bardzo i ten nowy atut, iż pomocy Polski Związek Łowiecki nie potrzebuje szukać, ponieważ pomoc tę ma zapewnioną w dzisiejszej nowej Polsce od czynników rządzących krajem. Czynniki te, zdając sobie doskonale sprawę z doniosłości wyrobienia sportowego społeczeństwa, nie mogą i sportu strzeleckiego traktować po macoszemu, tym więcej, iż sport ten zalicza się do najbardziej popularnych w świecie i posiada wielkie znaczenie z punktu widzenia wojskowego.



Światowy rekord łopat łosia

Złota tarcza dla Polski na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w 1937 roku.

Co do samych zawodników, to, jak tego można było oczekiwać, wyniki osiągane przez nich po 9-ciu latach „próżnowania" uległy pewnemu spadkowi. Jest to całkowicie zrozumiałe. Jednakże dojście do norm przedwojennych nie jest rzeczą wykluczoną, a dla niektórych nawet zbyt trudną.

W związku z tym nie od rzeczy będzie dodać, że niektórzy z zawodników dochodzili przed wojną w swych wynikach do 95%, a nawet do 99% w poszczególnych setkach rzutków.

Jeśli chodzi o konkurencję międzynarodową, to ekipa nasza musi doćwiczyć się do przeciętnej wysokości wyników 90%, ażeby stawić czoło

w spotkaniach światowych. Staje więc przed nimi do pokonania wytężona praca oraz uzbrojenie się w cierpliwość i nieustępliwość.

Co do ogólnych warunków technicznych, należy podnieść, iż znany światu myśliwsko-strzeleckiemu stand w Szczęśliwicach ocalał, łącznie ze schronami dla maszyn, natomiast został całkowicie zniesiony z powierzchni ziemi nasz ładny pawilon, mieszczący urządzenia pomocnicze i część widowni.

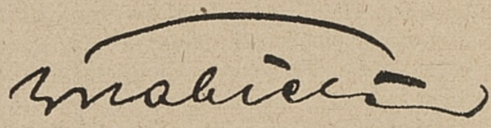
Powrócenie do pełnych, potrzebnych dla urządzania zawodów, warunków technicznych, pozostaje narazie troską P. Z. Ł.

Jednak już to choćby, że wspólnym wysiłkiem Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcji Centralnego Zarządu Przemysłu Chemicznego umożliwiono zawodnikom ćwiczenia przez dostarczenie im bezpłatnie nabojów w tym celu, pozostanie wielką zasługą tych organizacji.

Z najbliższych spotkań o charakterze zawodów należy wymienić projektowane spotkanie polskiej czołowej ekipy z zawodnikami Z.S.R.R. w Legnicy, a w ramach wystawy Ziem Odzyskanych — zawody we Wrocławiu.

Niezależnie od tych spotkań, przewiduje się ewentualny wyjazd naszej czołówki na zawody międzynarodowe w ramach Olimpiady do Anglii. Ważne jest w związku z tymi projektami przyrzeczenie dostarczenia zawodnikom specjalnie precyzyjnie elaborowanych nabojów, które mają spełnić nie tylko swe przeznaczenie pod względem możliwości osiągnięcia jaknajwyższych wyników, lecz które mogłyby być jednym z punktów propagandowych, dotyczących naszej krajowej produkcji w ramach ogólnego trzyletniego planu gospodarczego.

Wszystkim zawodnikom należy życzyć owoców z odbywanych strzelań ćwiczebnych, które mają ich doprowadzić na już przed wojną zdobyte miejsce w konkurencjach międzynarodowych, a wszelkim zamierzeniom z tym zagadnieniem związanych, jak i jednostkom stającym na czele organizacji strzelectwa standowego do rzutków — powodzenia w ich pracy nad doprowadzeniem tej dziedziny sportu na poziom światowej sławy.



Już po złożeniu artykułu Kol. W. Zabiełły otrzymaliśmy wiadomość o wynikach zawodów w Legnicy, odbytych w dn. 13 czerwca r. b. w warunkach zawodów olimpijskich.

Reprezentacja polska zdobyła 337 punktów, reprezentacja radziecka — 328 punktów.

Na czołowe miejsca wysunęli się ze strony polskiej koledzy: Ziegenhirte Wilhelm (89 punktów na 100) i Kiszkurno Józef (88 punktów), ze strony radzieckiej: mjr. Kaszpar (87 punkt.) i mjr. Szewidze (84 punkt). W dniu 14.6. b.r. zawody „z podchodu” wygrała drużyna radziecka.

JÓZEF GIEYSZTOR.

ŁOWIECTWO POLSKIE W OCENIE ŚWIATOWEJ

Warunki terenu, gleby i klimatu umożliwiają powstanie na ziemiach polskich zwierzostanu pierwszorzędnego, zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym.

Czy te warunki przyrodzone zostały przez nas należycie wyzyskane? Czy myśliwi polscy, przez właściwą organizację i osobisty wysiłek, potrafili doprowadzić łowiectwo polskie do stanu, na jaki ono zasługuje? Czy Polski Związek Łowiecki, jako ognisko kierownicze, nadał właściwy kierunek kulturze trofeów łowieckich, będących widomym obrazem stanu łowiectwa?

Na wszystkie te pytania dać mogą odpowiedź jedynie zestawienia porównawcze, osiągane na międzynarodowych wystawach łowieckich, gdzie szereg krajów staje do współzawodnictwa, przedstawiając w trofeach myśliwskich, wykresach, tablicach statystycznych i fotografiach, osiągnięcia i dorobek swój na odcinku łowiectwa.

Takim konkursem światowym była ostatnia Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w 1937 r. w Berlinie. Do współzawodnictwa stanęły 52 narody ze wszystkich części świata, dostarczając wszystko co miały w tej dziedzinie najlepszego. Wzięliśmy w nim udział i my.

I oto okazało się, że zajęliśmy na wystawie miejsce naczelne. Osiągnęliśmy je dzięki jakości i liczbie nadesłanych trofeów. Pawilon nasz okazał się zbyt mały na przysłaną ilość okazów, aby je można było najkorzystniej przedstawić, ale tak imponował ilością, jakością i rozmaitością zbiorów, że wyglądało na to, iż Polska knieja wysypała odrazu wszystkie swoje bogactwa, nie troszcząc się o to, w jaki sposób będą okazane. To też według jednomyślnej opinii niemieckich sprawozdawców, stoiska polskie były stale oblegane przez tłumy zwiedzających, wyróżniając się tem od pawilonów innych.

Za najlepszy zbiór trofeów myśliwskich, jako całość, Polska otrzymała nagrodę honorową, zaś materiał okazowy poszczególnych wystawców poddany został ścisłemu badaniu porównawczemu przez osobny zespół sędziowski, który za podstawę przyjął świeżo zatwierdzoną przez Międzynarodową Radę Łowiecką (C. I. C.) ujednoliconą metodę oceny trofeów myśliwskich. Na podstawie tej właśnie oceny dokonano przyznania nagród w postaci złotych tarcz (odznaczenie najwyższe) oraz złotych, srebrnych i brązowych medali.

Otóż wystawcy polscy zdobyli nagród najwyższych — złotych tarcz (według wykazu, podanego w księdze pamiątkowej Wystawy „Waidwerk der Welt"):

W dziale żubra — 1 tarczę złotą na 2 stojące do dyspozycji (drugą otrzymały Niemcy).

W dziale łosia — 4 tarcze złote na 8 stojących do dyspozycji, osiągając 339,1; 338,1; 326,1 i 314,3 punkty, a bijąc Szwecję i Niemcy.

W dziale jelenia — 2 tarcze złote na 31 stojących do dyspozycji z punktacją 227,9 i 223,2, wobec 235,1 najwyższej (Węgry) i 220,3 najniższej (Węgry).

W dziale niedźwiedzia — 1 tarczę złotą na 3 stojące do dyspozycji z punktacją 347,0 wobec 353,0 i 329,0 (Rumunia).



2-gie rekordowe szable dzicze na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w 1937 r.



Rekordowe porostki sarnie

Złota tarcza dla Polski na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w r. 1937

W dziale rysia — 3 tarcze złote na 4 stojące do dyspozycji z punktacją 158,0; 158,0 i 155,0 wobec 153,0 (Rumunja).

W dziale wilka— 2 tarcze złote na 3 stojących do dyspozycji z punktacją 148,0 i 144,0 wobec 145,0 (Rumunia).



Rekordowy wilk
złota tarcza dla Polski w 1937 roku.



Pawilon polski odwiedzany był najliczniej.



Najlepszy wieniec polski na wystawie w r. 1937. (złoty medal)

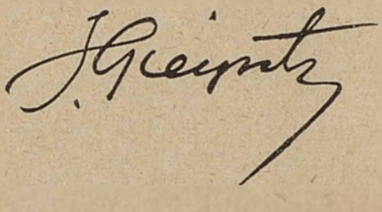
W dziale dzika — 6 tarcz złotych na 10 stojących do dyspozycji z punktacją od 151,0 do 134,4, bijąc Rumunię, Czechosłowację i Jugosławię (136,1; 133,4 i 132,3.).

W dziale sarny — 15 tarcz złotych na 62 stojące do dyspozycji z punktacją od 196,0 do 151,5 wobec otrzymanych przez inne kraje od 175,3 do 150,1 punktów.

Ogółem zatym Polska zdobyła 34 tarcze złote, gdy dziewięć pozostałych krajów europejskich, stających do współzawodnictwa w tym dziale, otrzymało 89 tarcz, co daje przeciętnie po 10 tarcz na poszczególny kraj. Pozatem wystawcy polscy zdobyli za dostarczone na Wystawę trofea myśliwskie 334 dalsze odznaczenia, w tem 89 medali złotych. 90-ty medal złoty otrzymał za artystyczne fotografie myśliwskie Kol. Wł. Puchalski.

Wyżej przytoczone liczby dają wyraźną odpowiedź na postawione na początku artykułu pytania. Możemy z całym przeświadczeniem stwierdzić, że pomyślne warunki terenu i klimatu kraju zostały przez myśliwych polskich wyzyskane w pełni i że kierunek zabiegów i hodowli zwierzyny obrany był właściwy.

Dziś przeto pozostaje nam jedynie nie ustawać w prowadzonej przez lat 20 pracy, odrobić przerwę i zniszczenia wojenne i, wyzyskując należycie przystosowane do nowych form i warunków życia prawo łowieckie, podnieść łowiectwo polskie znowu do poziomu, który mu sama natura wyznaczyła.





Winieta tytułowa z r. 1929. Malował Józef Rapacki

Urywki z utworów najpoważniejszych pisarzy łowieckich

JÓZEF WEYSSENHOFF.

SOBÓL i PANNA

— Wybierz sobie, Miś, który krzak przy tej kanawie — ot najlepiej w niższym miejscu, przy błotku; — ja pójdę sto kroków dalej. Tędy ich dukt z Dusiackiego jeziora na Roszę, albo i z powrotem. Słońce chowa się — sama pora.

Zaledwie sam pozostał, zauważył Michał zmianę w programie koncertu, którego numer, ostatni dzienny, grał się w powietrzu, ale tak lekko, że ucho, przywykłe do rozlanego nawet w ciszy dźwięku, chwytało sens dopiero wtedy, gdy ucichł. Jak na skinienie batuty umilkły naraz przedzachodnie świegotania maleńkich śpiewaków w łozinie: trznadli, sikorek, pliszek. Przetrwał tylko najwyższy skrzypcowy brzęk komarów. Ale zaraz obudziły się głosy basowe, odęte strachami nocy—dalekie bąki zagadały—i ostrzegawcze, jak kołatki stróżów nocnych, zdwojone pokrzyki derkaczów. Rozpoczął się nokturn.

Strop niebieski wydawał się jeszcze tak jasnym i przejrzystym, że głębszym, niż za dnia. A jednak zbladł i mroczył się coraz bardziej, bo opóźniona w błękicie jaskółka okazywała się muchą przy baczniejszym wpatrzeniu, a ostra chmurka przybywającego księżyca powlekała się złotem.

Na tle ciszy takiej, że nuta komara, spędzonego z twarzy, nabierała wartości prymu, w pustce nieba bezmiernej, łowiło jednak ucho jakieś rytmiczne szumy. — — Od jezior dalekich, czy od mieszkań ludzkich powietrzne telegrafy bez drutu? — — Nie — szum rośnie w tentent podniebny, zbliża się — — to już kaczki nad głową Michała.

Ale gdzie w błękicie?!—chyba o sto sążni?— A ile ich! — kilkadziesiąt w kluczu, a tam klucz drugi, trzeci — —

— Szu—szu—szu—szu—szu—szu...

Nie dziw, że łoskot słychać z daleka, skoro taka ich ćma. — — Ale jeżeli tym szlakiem ciągnąć będą dzisiaj, to żadnej nie dostaniemy.

Po rozczarowaniu inna nadciągała dolegliwość: komary cięły nieznośnie, chociaż Michał wsadził głowę w krzak i przeciw regułom myśliwskim palił papierosa. Legiony ich przybywały od tego błotka, przy którem stanął, za poradą Stanisława. Opędzał się niecierpliwe, trzaskał się to po rękach, to po karku.

Wtem ujrzał Stanisława, zbliżającego się w lekkich susach. Co takiego? — — Dopadł i podał mu flaszeczkę.

— Masz tu olejek gwoździkowy; posmaruj sobie ręce, szyję i twarz; pilnuj tylko, żeby do oczu nie zalazł. Komar ciebie ani powącha.

— Dziękuję ci, mój Stachu — — ale ty? —

— Ja już cały wysmarowany, aż lepki. — Deszcz jutro będzie, kiedy tną tak zajadle. — I pilnuj teraz! — —

Do oddalającego się mówił Michał:

— Ależ my stoimy na stanowiskach niezbyt spokojnie.

— Nie bój się! tutaj im droga przepisana — nie zboczą one — — I pyszny ciąg będzie, widać to po pierwszych stadach.

— Tylko dyablo wysoko ciągną!

— Bo jeszcze jasno. Pójdą niżej — obaczysz —

Jeszcze Stanisław nie doszedł do swego stanowiska, gdy nowy ogromny klucz zaszumiał nad głową Michała. Musiał lecieć trochę niżej, niż poprzednie, bo z lotnego pułku doleciało kilkakrotne kwaknięcie, zapewne dowódcy, ostrzegającego o zasadzce. Stanisław wymownymi gestami dawał znać z oddalenia, że można już było strzelić.

I natychmiast dał przykład.

Przeciągało nad Pucewiczem stado mniej gęste i złożone ze sztuk, które wydały się Rajeckiemu najmniejszym gatunkiem cyranek. Stach dał ognia z obu luf. — Po drugim strzale od rozpędzonego stada odłączyła się jedna sztuka ze złożonemi skrzydłami, zniżała się ogromnym łukiem ku łące, rosnąc w oczach, aż brzdękła głośno o trawę duża krzyżówka. Fox skoczył natychmiast i zaaportował.

— Ot widzisz! — krzyknął Stach — można —

Michał powiał kapeluszem, winszując pięknego strzału, cicho zaś strofował się:

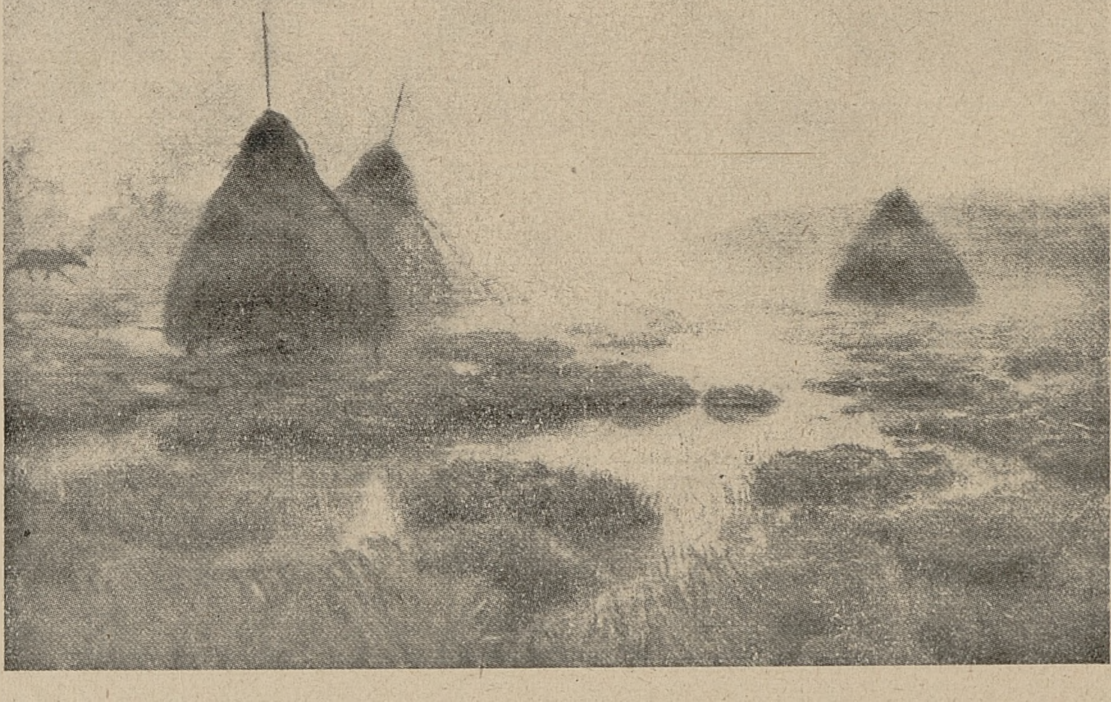
— Mogłem z tamtego stada choć jedną ściągnąć. Trzeba tylko ufać strzelbie i odważyć się nawet dwa sążnie przed dziób mierzyć. — — A zawsze w jedną sztukę i dokładnie — nigdy w kupę!

Nadciągały właśnie kaczki nad błoto. Pełen świeżych postanowień Michał wymierzył do pierwszej sztuki i strzelił. Rozległo się w powietrzu żałosne kwakanie i kaczka, z przetrąconem skrzydłem, jęła spadać dziwacznym zygzakiem, ciągle kwacząc, aż klapnęła w mokradło. Tyle miał Michał emocji z tego widowiska, że nie strzelił już z lewej lufy. Hetka zaś, czy zrażona hałaśliwem zachowaniem się spadającej kaczki, czy że nie raczyła nóg zamoczyć, stała na miejscu, pomimo rozkazu, aby aportowała. Trzeba było wezwać pomocy żarliwego Foxa.

Ciemniało. Kaczki płynęły teraz trochę niżej przez blado-błękitną porcelanę nieba, czasem przekreślały długim szeregiem złoty sierp księżyca, jakby wzorem japońskich wazonów.

Strzelanina trwała wściekła. Kaczki, niezbyt przebiegłe wogóle, głupieją jeszcze na ciągu. Po kilkudziesięciu strzałach w jednem miejscu nieustannie waliły nowe pułki na tę dolinę śmierci, mając jedyną obronę w nadzwyczajnej szybkości. Myśliwi nie żałowali prochu; i chociaż najlepszy strzelec zużyje przeciętnie trzy ładunki na jedną kaczkę przy tych warunkach oddalenia, rozpędu i zaniku światła, zdarzały się piękne myśliwskie efekty. Stanisław dał kilka dubletów, z których jeden wspaniały do wysokiego stada: spadły dwie sztuki zabite tak piorunowo jedna po drugiej, że trup gonił trupa po wielkim łuku spadania. Michał znów zabił aż pięć sztuk z jednego stada, które po pierwszym dublecie zawróciło, dając mu czas do ponownego nabicia strzelby i do zwalenia jeszcze trzech sztuk dwoma strzałami.

Ale ciemniało już na dobre i ciąg zdawał się wyczerpanym. Przez kilka minut nie nadleciała ani jedna kaczka. Michał już chciał ruszyć z miejsca w kierunku do Stanisława, gdy mu ten dał znak, aby pozostał przy błotku. I słusznie — gdyż nadciągnęły niebawem marudery wojsk powietrznych nizko i powolniej, niż poprzednie pułki, zapadając pojedyńczo na błotko pod samemi nogami Michała. Jedyną przeszkodę sta-



H. Weyssenhoff *Łoś*

nowiła rosnąca ciemność. — Tyle było do roboty teraz przy błotku, że Stach podążył na pomoc Michałowi.

Strzelanina przeszła w rodzaj opędzania się od nadlatujących kaczek. Czasem cień tylko zawisnął w powietrzu — prało się do tego cienia na pamięć, z przyrzutu, a kiedy skutecznie, ciężka sztuka spadała w wodę między trawą, bryzgając głośno. To znowu myśliwi czuli aż na twarzy wiatr blizkich skrzydeł, przelatujących w niespodziewanym kierunku.

— Tiro! [1]) — wołał jeden do drugiego, gdy nie zdążył nabić wyładowanej strzelby — o tu — tu! nad samą głową — —

— Łap ją za ogon, kiedy widzisz! — odpowiadał drugi, gdy prześlepił kaczkę.

A zdarzało to się często w tej ciemności; dojrzeć bowiem lot można było tylko na tle gasnącej łuny niebieskiej; gdy kaczka ciągnęła przez tło krzaków, tak nizko nad łąką, kot chyba, lub ryś zdołałby ją upatrzyć.

Złożyli broń nareszcie, choć szumy i kwakania dawały się jeszcze słyszeć. Noc otuliła zasłoną niedobitki, rzuciła też całun na poległe, rozsiane po łące. Fox podniósł kilka sztuk i przyniósł do panów — resztę znajdą o świcie chłopcy z Trembeliszek, gdy się im powie, gdzie mają szukać.

— Ależ dymu napuściliśmy! — —

Nad błotkiem leżał tuman mgły, przesiąknięty ostrym swędem prochu, i nie rozchodził się w martwem powietrzu.

— Bo też i kaczek natłukliśmy! Zabierajmy, co przy nodze, i chodźmy.

Skoro porzucili to miejsce zgiełku i dymu, noc cicha i wonna ogarnęła ich przejmującem objęciem. Dzwoniło w uszach od rozległej ciszy, dzwoniło w sercach od nieutulonych pragnień.

Józef Weyssenhoff.

1) Tire haut! — okrzyk myśliwski, oznajmiający zbliżanie się ptaka w locie.

JAN SZTOLCMAN.

TRAGEDIA ZWIERZYNY

W życiu każdego myśliwego zdarzają się—na szczęcie rzadko—wypadki, które dreszczem zgrozy przejmują najbardziej nieczułych uczestników polowania i każą nieraz zapominać o uroczych chwilach, jakich nam dostarcza nasze ukochane łowiectwo. I ja nie byłem wyjątkiem w tym wypadku, miałem sporo takich zdarzeń, ale z nich trzy mi utkwiły w pamięci tak głęboko, że dzisiaj, pomimo lat kilkudziesięciu, jakie mnie dzielą od tych wypadków, odtwarzają się w mej wyobraźni z taką jasnością, jak gdyby dopiero wczoraj zaszły. Posłuchajcie.

* *
*

Braliśmy banalny miot na zające — wysoki las, wgłąb którego wzrok sięgał na paręset kroków. Śnieg pokrywał ziemię, więc z łatwością zauważyć było najmniejszy ruch w kniei... Naraz spostrzegłem w dali jakieś zwierzątko — za duże na wiewiórkę, za małe na lisa... Z kształtów i kity poznałem jednak, że to nasz przyjaciel, lis... Szedł kłusika równolegle do linii, przysiadł, a potem skręcił i skierował się prosto na mnie tym samym truchcikiem, w którym, jak paciorkiem, tropy swe znaczy. Podpuściłem go na 15 kroków i w strzale zatrzymałem.

Gdy podeszli objawnicy, wynieśli mą ofiarę na linię. Dreszcz mnie przeszedł na widok tego stworzenia. Przed udami, poprzez brzuch wnyk z drutu miedzianego wbił się tak głęboko, że go ledwie widać było i tylko ukręcony koniec sterczał na kuprze. Cały brzuch był obgniły, zzieleniały, czuć było padliną... A zwierz był tak wychudzony, że literalnie pozostały tylko skóra i kości!

I wtedy uprzytomniłem sobie, te długie tygodnie konania, bez nadziei wydostania się z zaciśniętej pętlicy. Błogosławiony mój strzał, który skrócił cierpienia biednego stworzenia!

* *
*

Szesnaście dni polowania na otropione dziki, i tylko na otropione dziki. Po potrąceniu niedziel — czternaście przecudnych polowań, pełnych emocji z widokami stad, sznurkiem ciągnących po kniei, lub wspaniałych odyńców, sadzących z fukaniem wzdłuż linii flankierów. Chwile niezapomniane, spędzone w najmilszym towarzystwie i pod okiem najgościnniejszego z gościnnych gospodarzy. I oto pod koniec tych królewskich łowów, zaszedł wypadek, który nam chwilowo skwasił humory i przypomniał, że łowy tak, jak i życie nasze są splotem uciesznych zdarzeń i chwil smutku i zwątpienia.

Brano miot na otropioną maciorę z warchlakami, która zresztą w połowie pędzenia przerwała się przez naganke, gdy oto przed stanowiskiem jednego z myśliwych ukazała się mara, bo nie można było tego inaczej nazwać. Był to dzik, ale olbrzymi, dużo większy od wszystkich, jakie widziano. Szedł wolno, stępa, a nie zwykłego świńskiego truchta, a przytem krok był niepewny, chwiejny... Zwierz szedł prosto przed siebie, nie zachowując zwykłych środków ostrożności, jakby obojętny na wszystko, co go ota-

czało. Ani razu nie przystanął, nie wietrzył w poszukiwaniu wrogich sobie myśliwych. Gdy był na przyzwoity dystans, padł strzał suchy i olbrzym ten osunął się na nogach, rażony w ośrodek życia.

Gdyśmy się zbiegli, po dojściu obławy, ujrzeliśmy widok niezwykły: olbrzymi dzik pokryty był cały soplami lodu, a był tak chudy, jak chudym może być tylko zwierz, który nic nie jadł od wielu dni.

— Już zgórą tydzień — rzekł łowczy miejscowy — jak dzika tego nie mieliśmy w tropieniu. Znaliśmy go, bo któżby nie znał tego kolosa, a gdy przepadł, nie wiedzieliśmy, co się z nim stać mogło, bo przypuszczenie, że się wyniósł z naszych lasów, było zgóry wyłączone. Widocznem więc jest, że przeszło tydzień jak nie ruszał się z tego miotu, ktoś go postrzelił i on tu zaległ, aby się więcej nie podnieść.

W samej rzeczy, bliższy egzamin wykazał postrzał przez brzuch. Ponieważ do dzika tego nikt z nas myśliwych nie strzelał, można więc było przypuszczać, że ciężką, nieuleczalną ranę zadała mu zbrodnicza broń kłusownika.

I ten patriarcha wszystkich dzików w szerokim promieniu, śmiertelnie okaleczony przez nikczemnika, dowlókł się do środka kniei, aby tu żywota dokonać. Tak był osłabiony, że się ruszyć nie mógł i śniegu prószącego wówczas, otrząsnąć z siebie nie był w stanie, a ten, tając od resztek ciepła zwierzęcia, zamarzał potem, tworząc sople na grzbiecie i bokach. Byłby tak ten odyniec dokonał swego żywota, trawiony gorączką, głodem wycieńczony, gdyby nie nasza obława, przed którą ustąpił, pchany resztką samozachowawczego instynktu.

Jemu też szczęśliwy strzał przerwał straszne cierpienia . . .

* *
*

Przed sobą miałem rozległe, ściernisko. Był wtedy koniec września, pędziliśmy kuropatwy obławą.

Linia obławy była jeszcze ode mnie daleko, gdy spostrzegłem pojedyńczą kuropatwę, która zerwawszy się, przeleciała niewielką przestrzeń i zapadła na ściernisku wprost przede mną. Gdy naganka była od niej bardzo blisko — jak mi się wydało, — kura zerwała się powtórnie i wtedy spostrzegłem, że ma lot falisty, niepewny . . . Zanim doleciała do mnie, zapadała jeszcze dwa razy, zawsze jednak zrywała się wprost od naganki, kierując się ku mnie. Gdy wreszcie znalazła się na możliwy dystans, strzeliłem, kładąc ją trupem na miejscu. Ponieważ naganka była już blisko, podbiegłem ku miejscu, gdzie leżała i podniosłem zdobycz . . .

Trudno jest wyrazić wrażenie, jakiego doznałem wtedy: ptak ten — starka — był lekki, jak piórko, i—rzecz dziwna, prawie zupełnie zimny, mimo, żem go podniósł najwyżej w dwie minuty po zabiciu. Wychudzona była do możliwych granic, na sterczącym mostku naciągnięta była skóra, pokryta pierzem. Oczy były wystrzelone.



Fot. W. Puchalski *Odyniec*
(Pierwsza nagroda na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w r. 1937)

W tem miejscu polowaliśmy sześć dni przedtem, również nagankami na kuropatwy. Widocznie więc, któryś z myśliwych wystrzelił wtedy oba oczy i ten nieszczęsny ptak męczył się przez sześć dni w nieprzeniknionej ciemności, nie mogąc znaleźć ziarna, aby głód zaspokoić, lub wody do ugaszenia żaru pragnienia. Konał tak przez sześć dni z głodu i pragnienia!

*

Zastanawiając się nad tymi wypadkami, myślałem nieraz, jak wiele okaleczonych śmiertelnie sztuk przepada wśród strasznych cierpień, gdy strzelamy do kur w kupę lub do biegu na zbyt odległe dystanse.

Konsekwencja: starajmy się strzelać wtedy, gdy mamy wszelkie szanse zatrzymania zwierza na miejscu, czyli na „pewniaka".

Jan Sztolcman.

STANISŁAW ZABOROWSKI.

W SERCU KNIEI

...Pogoda. Na czystem, gwiaździstem niebie stoi miesiąc w pełni; przed świtem bierze przymrozek. W lesie biało od szronu i jasno, jak w dzień; choć szpilki zbierać po ziemi. Głuszce tokują dziś wcześnie; już grały, kiedy z osacznikiem wchodziłem do ostępu. Słychać jednego, daleko na błocie; drugi gra tuż, na suchym lesie, w świerczynie. Tego na początek, podejść można będzie spacerem; zabawa. Potem—potem pomyśleć może da się o drugim, o tym na błocie. Śpieszyć się zbytnio niema potrzeby, jest jeszcze bardzo wcześnie; do wschodu słońca godzina przeszło.

Ukryci, stoimy w cieniu i, szepcąc, naradzamy się z leśnikem; palę ostatniego papierosa. Nad nami, na grubych kolumnach sosen, jak sklepienie, wisi czarny strop koron, wyżej, wysoko nad lasem, po jasnem niebie płynie miesiąc. Gdzie dosięga jego zimny promień, tam oszroniałe mchy i wrzosowiska błyszczą, jak srebro. Najlżejszy wiatr nie porusza igieł, w puszczy cisza, w przyrodzie głęboki, uroczysty nastrój. Stoję w skupieniu, słucham, i doznaję uczucia, że jestem w świątyni, w której niezadługo, jak tajemniczem isteria, odprawiać się będą obrzędy wielkiego rytuału życia. Żórawie milczą dziś,



W. Wywiórski *Kaczory*

wl esie cisza, jak w kościele. Tem wyraźniej dolatuje nas pieśń tokującego głuszca. W mroźnem suchem powietrzu, jak osobliwy dzwonek, rozlega się jego dźwięczne, donośne tek - tektek, tek - tektek. Daleko gra; drugiej strofy pieśni nie słychać jeszcze. Jestem jak na przedstawieniu, które znam, a z którego dochodzą mnie tylko urywane słowa. Całość odgaduję i dopowiadam ją sobie w wyobraźni:

— Trzeba iść, inaczej za późno byłoby na drugiego.

Nasunąłem kapelusz na czoło, podniosłem kołnierz i, zgasiwszy papierosa, poczynam się skradać. Idę szybko — droga jak po stole.

Gra — teraz usłyszałem już i drugą część pieśni; słyszę, jak syczy. Otwartych miejsc unikam, bo jasno, jak w dzień: długi, czarny cień wlecze się za mną po ziemi. Staram się przemykać pod drzewami, gdzie mrok. Jeszcze jedna polana duża, otwarta, którą muszę minąć.

— Dawno już nie widziałem takiej pięknej pełni, takiego jasnego miesiąca — myślę w duszy. — Na dziś może wolałbym trochę chmur, trochę mgły. W lesie, na głuszca stanowczo jest dziś za jasno.

Wstrzymując oddech, nasłuchując, posuwam się przez polanę krok za krokiem, nie śmiem podnieść oczu. Zobaczy, czy nie zobaczy? Gdzie on ma oczy? Przecież musi widzieć.

— A może siedzi odwrócony od polany — pocieszam się w myśli.

Jeszcze chwila, jeszcze dziesięć kroków, ukryję się pod drzewami. Uciął — coś ścisnęło mnie za serce. Słucham — czekam łopotu skrzydeł. Chciałbym zniknąć, zapaść się pod ziemię, a stoję w pełnem świetle, na środku polany. Zobaczył mnie, czy nie zobaczył, odleci, czy nie odleci?... Czekam, słucham, nie śmiem poruszyć oczyma, ani drgnąć. — Tek - tektek! — Gra, nie widział; to była zwykła pauza.

— Ufff; — odetchnąłem, zabiło mi serce.

Jeszcze dwie pieśni — stoję pod świerkiem. Ależ bezpiecznie siedzi! — W czarnej, skłębionej kępie świerków, w samym środku, gdzie ciemno, jak w piwnicy. Nie łatwo będzie wypatrzyć go tam; miesiąc przeszkadza, bo przez kontrast ciemność między drzewami wydaje się jeszcze czarniejszą.

Oparty o pień stoję, patrzę, wpatruję się; te same drzewa, te same miotły igieł widzę po kilka razy; powracam do nich raz jeszcze i jeszcze raz — nic nie widzę. Próbuję zachodzić z drugiej strony. Księżyc świeci mi teraz za plecami, kępa świerków leży teraz przede mną, jak na dłoni. Gra tak blizko, że słyszę szelest piór w wachlarzu, a mimo to nie widzę z innej jeszcze strony — naprożno: głuszca dopatrzyć nie mogę. Chyba w czapce-niewidce śpiewa, czy zaczarowany. Wracam na stare miejsce, światło mam z boku; jeszcze patrzę — nic.

W rozpaczy na myśl przychodzi mi leśnik, który czeka gdzieś niedaleko. Krzyknę w takt pieśni, przywołam go, może on zobaczy. Patrzę jeszcze. Ej! w gęstwie, na drzewie zamajaczyło coś! Głuszec, nie głuszec? Ach, przecież to on! Czy — czy aby nie zwodzą mnie oczy?... Odwracam głowę, spoglądam w inną stronę i po chwili ostrożnie, wolno, żeby nie spłoszyć go wzrokiem, patrzę znowu. Tak, to on, to głuszec siedzi. Widzę głowę, zakrzywiony jak u orła dziób; na piersiach, w świetle księżyca, błyszczy i mieni się pancerz. Dziób, aż odbija na tle czarnej głowy. Całego ptaka, choć przesłonięty trochę, widzę także. Raz jeszcze przymykam oczy, otwieram, patrzę: w najdrobniejszych szczegółach obraz powraca i powtarza się, wciąż ten sam. Już nie mam wątpliwości — widzę teraz, to głuszec. Niema co zwłóczyć — siedzi jak na dłoni. Zmierzyłem, wycelowałem — długo, uważnie; huknął strzał. Z drzewa posypały się igły i gałęzie, potem sekunda ciszy — osłupiałem. W prawo, na trzeciem, czy na czwartem drzewie rozległo się pośpieszne, gwałtowne łopotanie; głuszec poleciał.

Zwiodła mnie wyobraźnia: to ,co brałem za ptaka, było kłębem igliwia—strzelałem na wiatr.

Dzień jakoś nieszczęśliwy, czy urzekli nas cyganie, których spotkaliśmy wczoraj, jadąc wieczorem do lasu. Dwadzieścia minut później, chybiłem do głuszca na błocie. „Uż toho dnia ne szancowało"!

Stanisław Zaborowski.

JULJAN EJSMOND.

SERCE MYŚLIWEGO

Serce myśliwskie bije w rytm otaczającej je Przyrody. Uderzenia jego zlewają się w harmonijną pieśń z szumem puszczy, z hymnem górskiego potoku, z szelestem trzcin i głosem dzikiego zwierza.

Raz powolne i majestatyczne, jak łopot orlich skrzydeł, to znowu przyśpieszone, rytmiczne jak lot dzikich kaczek na wieczornym ciągu po niebie z purpury i złota.

Czasami serce uderzy głucho, jak gdyby rozebrzmiał zew miłosny króla kniej, czasem gwałtownie skoczy, niczem spłoszony zwierz, a czasami przystanie cicho, jak czający się drapieżnik.

Blade świty i płomienne zachody, gorejące południa i modre noce gwiaździste przemawiają do myśliwskiego serca głosem tkliwym i tak bezmiernie kochającym, jakby to był kobiety umiłowanej zew.

A na głos ten kuszący, serce myśliwego drży z rozkoszy miłosnej, a dusza rwie się do wiosennego lasu, gdzie brzmi pieśń głuszca, do zło-

tych pól i kwietnych łąk letnim słońcem nagrzanych, do ostępu, który jesień ubrała we wszystkie kolory i rozśpiewała gonem ogarów lub też zima wysrebrzyła i ukołysała do lodowego snu...

Zimny lodowy sen! Serce myśliwego bije młotem, czytając na białych kartach ponowy czarowne opowieści o tajemnicach kniei...

Człowiek obcy nie zrozumie nigdy tego serca, Pozostnie ono dla niego wieczną zagadką. Nie zrozumie tego serca, które ma w sobie czasem słodycz dziecięcą, a czasami drapieżność dzikiego zwierza.

Ale człowiek obcy nie rozumie również Przyrody. Bowiem cała tajemnica myśliwskich serc polega na tym jedynie, że biją one w rytm otaczającego ich dzikiego świata.

I dla tego mają w sobie łagodność błękitu, to znów dzikość bestji leśnej; majowego poranka wesele, to znów smutek zimowych wieczorów, gdy wycie wichury miesza się z wyciem zgłodniałych wilków.

I wielkie jest serce myśliwskie, skoro zmieścić w sobie może świat cały, wszystkie jego smutki i radości, wiosny, i zimy, cisze i huragany...

Juljan Ejsmond.

JULJAN EJSMOND.

DO MOICH SYNKÓW

Kiedy będziecie już duzi,
moi najmilsi łobuzi,
Tatuś weźmie was
wtedy w ciemny las
o wiośnie...
I po raz pierwszy ujrzycie,
jak bór się budzi o świcie...
Pierwszy w życiu raz
usłyszycie las
w słońca blaskach zbudzony radośnie...

*

Na leśnym dalekim mszarze
głuszcowy tok wam pokażę...
Kogut zagra nam!
Podprowadzę sam
do drzewa...
Serce uderzy wam młotem...
Staniemy nad leśnem błotem...
Boski ranek ten
będzie — jako sen!
Zasłuchacie się, jak głuszec śpiewa!...

*

A potem przez całe życie
ilekroć myślą wrócicie
w ów radosny czas, —
opromieni was
wspomnienie...
Szumieć wam będzie rozgłośnie
daleka puszcza o wiośnie —
Tajemniczy las
oczaruje was
swym urokiem, cudnym nieskończenie!

Kiedy będziecie już duzi,
moi najmilsi łobuzi,
Tatuś weźmie was
zimą w biały las
na łowy...
I w lesie tym usłyszycie
w niewysłowionym zachwycie
śród śnieżystych drzew
trąb myśliwskich zew,
gdy obława rusza w bór zimowy...

*

A potem cisza dokoła...
Tylko pukanie dzięcioła
z głębi boru brzmi
śród odwiecznych pni
w gęstwinie...
Bezmierna cisza dokoła...
I tylko jastrząb zawoła
w górze gdzieś z pod chmur...
Biały, cichy bór
śni o łowach, łowcach i zwierzynie...

*

Zawrzaśnie nagle obława —
Sen pierzchnie — zbudzi się jawa!
Ze śniegowych leż
ruszy ku nam zwierz...
(Cudne łowy są na białej stopie!)
I nigdy synkowie mili
nie zapomnicie tej chwili:
naganiaczy krzyk...
granie psów... i dzik!...
strzał Tatusia...— i farba na tropie!!

Juljan Ejsmond.



Jakimczuk *Za tropem*

JANUSZ MEISSNER.

WILK, RYŚ i DZIEWCZYNA

Stanęliśmy na stanowiskach równo ze wschodem słońca. Las milczał i wszystko dokoła zdawało się wsłuchiwać w ciszę. Tylko czasem bezgłośnie wiosłowały pojedyńcze wrony nad wąskim pasmem drogi, która na prawo ode mnie skręcała między olchowe zarośla, na lewo zaś biegła prosto między rozłożystymi świerkami podającymi sobie ponad nią płaskie palczaste łapy ośnieżonych gałęzi.

Usiadłem na pniaku i medytowałem, czym nabić strzelbę: kulami, czy śrutem?

Pierwszy strzał — dzik albo lis: kula, albo jedynka. Dopiero potem wolno strzelać zające i cietrzewie.

Rozejrzałem się. Las przedemną był gęsto podszyty: suche badyle krzaków, łozy ostrężyny...

— Jeśli będzie szedł dzik, posłyszę go z daleka — pomyślałem. — Wtedy nabiję.

Pan Stanisław trąbił daleko na prawym skrzydle w lufy swojej flinty, aby dać sygnał Bałajowi, że jesteśmy gotowi.

Ruszyła naganka z drewnianymi kołatkami. Cisza pierzchła. Jakiś ptak zaniepokoił się w gałęziach nad moją głową, strząsnął okiść śniegu, która pacnęła na drogę, i odleciał. Sójki wrzeszczały za mną, jakby im kto pierze darł. Gdzieś we wsi ujadały psy.

Stanąłem za niskim świerkiem i słuchałem, patrząc w las. Naganka jakby stała na miejscu. Kołatki odzywały się to tu, to tam, ciągle — jak mi się zdawało — w jednakowej odległości od linii myśliwych. Słońce wytoczyło się wyżej i ciekło przez las, kładąc na śniegu niebieskie cienie drzew.

Wtem daleko przedemną wybuchnął krzyk:

— Kabany! Zabiegaj, nie puskaj!

Serce zaczęło mi łomotać. Wytężyłem wzrok i słuch.

Krzyki ucichły po chwili, natomiast kołatki zaklekotały energiczniej i bliżej.

Czekałem tłumiąc oddech. Coś zaszeleściło przede mną, nieco na lewo. Przemknął szarak, wyskoczył na drogę i pokicał w las po drugiej stronie.

— Bądź zdrów — pomyślałem zniecierpliwiony.

Szelest powtórzył się. Był jakby dalszy, a jednak mocniejszy; powiedziałbym — szerszy. Zaraz potem zatrzeszczało w badylach, zaszumiało, zatętniło.

— Idą!

Serce, to zwariowane myślwskie serce, stanęło na sekundę, by natychmiast ruszyć galopem: szły dziki...

Zobaczyłem je w tej chwili. Truchtem darły się przez krzaki, pojedyńczo i po dwa. Na przedzie cztery warchlaki, za nimi locha, na końcu dwa duże wycinki.

— Te dwa będą moje — pomyślałem. — Zrobię dubleta do dzików!

Wyszły na drogę o dwadzieścia kroków ode mnie i zmierzały na drugą stronę, śladem zająca. Defilowały wolno, jak na paradzie.

Podniosłem broń do oka, zmierzyłem starannie i pociągnąłem za spust gdy pierwszy z wycinków znalazł się na środku drogi.

Rozległ się cichy trzask iglicy. Jeden, po nim drugi..., ale strzał nie padł.

Dziki spokojnie szły dalej, a ja zgłupiałem:

— Dwa niewypały?!

W tej chwili przypomniałem sobie, że nie nabiłem strzelby.

— Rany Boskie!...

Gorączkowo sięgnąłem do torby, złamałem strzelbę, drżącymi palcami wsunąłem naboje do luf i — — dzików już nie było...

Zrobiło mi się gorąco, potem zimno. Pociemniało mi w oczach. Omal nie upadłem tak mi zmiękły kolana.

Wtedy go dostrzełem i nagle krew z powrotem uderzyła mi do głowy. Wzruszenie jak kleszczami chwyciło za gardło. Nie wierzyłem własnym oczom.

Ale to nie było przywidzenie: stał między drogą a krzakami, zwrócony do mnie bokiem i oglądał się w tył, skąd słychać było nagankę. Ogromny, płowy, z ciemną pręgą wzdłuż grzbietu i z puszystym ogonem, podwiniętym między nogi. Sterczące uszy drgały mu lekko, szeroka pierś poruszała się długim oddechem, włos na karku jeżył się coraz bardziej...

Stał i węszył, czy też nasłuchiwał, stary piękny wilk.

Zmierzyłem na komorę i strzeliłem. Źle przyłożona kolba wyrżnęła mnie w szczękę, aż zobaczyłem wszystkie gwiazdy w zawrotnej karuzeli. Omal nie wpadłem do rowu, kiedy nogi same poniosły mnie przez drogę.

Nie wiedziałem, czy trafiłem, czy też spudłowałem, i nie mogłem ani przez sekundę znieść tej niepewności; musiałem się przekonać.

Leżał przede mną zupełnie nieruchomy czerwieniąc śnieg posoką. Został w ogniu na tym samym miejscu gdzie stał. Był mój!

Usiadłem obok na śniegu i dyszałem ciężko, nie mogąc się uspokoić.

Na prawo huknęło kilka strzałów, naganka podchodziła do linii, dwa czy trzy zające śmignęły koło mnie, a ja nie byłem zdolny nawet ręką ruszyć.

Opanowałem się wreszcie i rzuciwszy naganiaczom garść papierosów, oraz srogo zakazawszy im podnosić gwałt z powodu mego sukcesu, poszedłem na spotkanie pana Stanisława.

Już z daleka wołał do mnie, że padły dwa lisy i zając, po czym zapytał o dziki.

— Poszły na pana. Widział je pan?

— Widziałem.

— Daleko?

— O dwadzieścia kroków.

— No — i?

— Nie strzelałem.

— Jak to, nie strzelał pan do dzików?...

— Nie.

Stanął i spojrzał na mnie jak na wariata.

— Dlaczego, na miłość boską? — zapytał.

Przyznałem się, że zapomniałem nabić strzelbę i opowiedziałem jak dziki spacerowały przez moje stanowisko.

— Tylko dzięki temu zabiłem wilka — dodałem w końcu z udaną obojętnością. — Gdybym strzelał do dzików, wilk by zawrócił i poszedłby bokiem.

Pana Stanisława zatknęło na dobrą chwilę, po czym złapał mnie za ramię i zawołał:

— Jaki wilk?! Gdzie wilk?! Zabił pan wilka?!

Dłużej nie wytrzymałem. Rzuciłem mu się na szyję i odbyłem z tym siwym starszym panem coś w rodzaju wojennego tańca indyjskiego, czemu się zresztą zbytnio nie dziwił: to był przecież mój pierwszy wilk i w dodatku wcale niespodziewany.

Przez dwa dni chodziłem w chwale, której nie zdołały przyćmić nawet skrzypcowe koncerty Prząskiego, który poza tym nadal ogrywał wszystkich w bridża. Panna Krystyna miała dla mnie najpiękniejsze uśmiechy i spojrzenia, od których kamień by się roztopił. Dyplomatę bolała głowa, chodził z kąta w kąt kwaśny jak ocet i przestał wymawiać jeszcze trzy spółgłoski. Jednym słowem — powodziło mi się świetnie.

Urlop mój dobiegał do końca, ale gdy wspomniałem o wyjeździe, panna Krystyna zaprotestowała:

— Musi pan jeszcze parę dni zostać w Śródborzu, póki ja jestem. Za to wyjedziemy razem, dobrze?

Zgodziłem się. Ktoby się nie zgodził na moim miejscu?

Poszedłem pisać list o przedłużenie urlopu, zostawiając uroczą Krystynę w towarzystwie kwaśnego Kazimierza.

Przez niedomknięte drzwi dochodziły mnie ich głosy: jego stłumiony, pełen wyrzutu i jej — obojętny, chłodny, choć dźwięczny.

— Do mnie mówi zupełnie innym tonem — pomyślałem z uśmiechem.

Mimo woli słuchałem dalej i po chwili wpadły mi w ucho jej słowa:

— Któż panu broni zrobić to samo? Ot — wziąłby pan choć raz strzelbę wuja Stanisława i poszedłby pan spróbować.

Uśmiechnąłem się drwiąco: on i strzelba! Potem przyszło mi do głowy, że Krystyna po prostu chce się go pozbyć.

— Może, aby zostać ze mną sama? — pomyślałem.

Nasłuchiwałem co będzie dalej. Po chwili szczęknął zamek u drzwi wejściowych i przez okno zobaczyłem Prząskiego, który ze strzelbą na ramieniu skręcał na ścieżkę do lasu. Zostawiłem wobec tego zaczęty list i wróciłem do salonu.

— Dobrze że pan przyszedł — powiedziała Krystyna.

— Naprawdę?

Skinęła głową i roześmiała się.

— Naprawdę.

— A gdzie się podział pan Kazimierz? — spytałem zaglądając jej w oczy.

— Niechże mnie pan nie prześladuje panem Kazimierzem. Wyprawiłam go na polowanie. Napije się pan ze mną herbaty?

Nie zdążyłem jeszcze odpowiedzieć, gdy w pobliżu domu huknął strzał.

— Jezus, Maria! — krzyknęła blednąc i chwyciła mnie za rękę. — Co on zrobił?

— Pewnie zastrzelił krowę myśląc że to żubr — powiedziałem.

— Myśli pan? Aby tylko sobie czegoś złego nie zrobił... Mój panie Januszu, niech się pan dowie. Niech pan kogoś wyśle — prosiła wystraszona.

Jej niepokój nagle i mnie się udzielił.

— A nuż sobie chłopak w łeb palnął?

Poszedłem prędko do przedpokoju, żeby wciągnąć futro i spotkałem się we drzwiach z panem Stanisławem.

— Dokąd to się pan wybiera? — zagadnął mnie wesoło.

— Prząski strzelał tu gdzieś blisko — odrzekłem półgłosem. — Boję się czy kogo nie postrzelił.

— A, słyszałem. Obudził mnie — mruknął pan Stanisław. — No, no. On nigdy nie polował. Hm. Chyba pójdę z panem.

Zaczął się ubierać, gdy nagle z salonu rozległ się głos panny Krystyny:

— Idzie! Idzie! Niech pan zaczeka.

Wyjrzałem oknem. Prząski szedł, zdrów i cały, z wesołą miną.

Odetchnęliśmy.

— Do czego strzelałeś? — zapytał pan Stanisław, gdy domniemany samobójca przekroczył próg.

— Zabiłem coś dużego. Siedziało tu zaraz na ścieżce. Chłopak stajenny mówi, że to łyś.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Ryś, siedzący na ścieżce o sto metrów od leśniczówki, to było



S. Żukowski *Ryś*

coś równie nieprawdopodobnego, jak dajmy na to — krokodyl w Wiśle.

— Czego się panowie śmiejecie? — zdziwił się Prząski. — Zabiłem łysia. Załaz go tu przyniosą.

— Mój kochany — odrzekł pan Stanisław. — Wiem, że tu pod Karasinem są rysie w niedostępnych bagnach. 40 lat już tu gospodaruję, połowę rocznej pensji bym oddał, żeby rysia zabić, ale go jeszcze na strzał nie miałem. A ty — pod samym domem i to na ziemi na ścieżce... Nie: na pewno psa ustrzeliłeś, mój miły.

Śmieliśmy się serdecznie i długo, ale — ten się najlepiej śmieje, kto się śmieje ostatni. A ostatni śmiał się tym razem Kazimierz Prząski.

Oto chłopcy stajenni przyciągneli przed ganek rysia.

Widzę już, jak myśliwi uśmiechają się sceptycznie, ale nic na to nie mogę poradzić: to był naprawdę ryś. Stary, ogromny, wspaniały ryś.

Wyjechałem nazajutrz ze Śródborza, nie dokończywszy listu o przedłużenie urlopu. Panna Krystyna już mnie nie zatrzymywała: zanadto była zajęta Kazimierzem. Nie tym kwaśnym Kazimierzem z ostatnich dni, nie: słonecznym Kazimierzem, dzielnym Kazimierzem, dumnym myśliwcem, który zabił rysia...

Przegrałem i uznałem się za pokonanego. Nie mogłem przecież zabić drugiego rysia. Zresztą czytelnicy, nawet bardzo łatwowierni, i tak by w to nie uwierzyli.

Janusz Meissner.

Synowi memu Andrzejowi
poświęcam.

WŁODZIMIERZ KORSAK.

CZTERY DNI LUTEGO

Luty 1909 roku był mroźny i słoneczny, taki jaką bywa prawie zawsze druga połowa zimy na dalszej północy.

Gdy po zdaniu pierwszych półrocznych egzaminów na akademii przyjechałem na wieś do domu na krótki odpoczynek trafiłem właśnie na cudowną porę. Noce wygwiażdżone i tak widne od tkwiącego gdzieś blisko zenitu księżyca, że średni druk można było z łatwością czytać, bezkresna biała cisza, przerywana tylko trzaskiem pękających na mrozie pni drzewnych i dalekiem huczeniem lodowej powłoki jeziornej, które niby przeciągłe westchnienia olbrzymiej piersi płynęło z zasnutej srebrzystą poświatą dali.

Wczesna, przeczysta jutrzenka rozpalała pół nieba szafranową, od dołu zaróżowioną barwą, a zmarzły na kamień śnieg skrzypiał ochoczo pod raźnemi krokami myśliwca.

Gdy tylko słońce wzbiło się wyżej, srogi mróz nocny uciekał gdzieś ku dalszym, mrokiem nocy jeszcze objętym krainom, a na różowe masy śniegów spływało ciepło gwałtownie rosnącego dnia, z dachów i nawisłych na świerkowych łapach zwałów śnieżnych ciurkały w dół różańce kropel wodnych, błyszczących w wesołem słońcu, jak barwne diamenty. Lekkie powiewy szły wówczas przelotnemi falami przez roześmianą w blaskach słońca krainę, niosąc od borów sosnowych bajeczną woń żywiczną, a od szerokich moczarów łozowych subtelny zapach pierwszych, nieśmiało się ukazujących baziek.

Z nastaniem zmierzchu, gdy na liliowy wkrąg horyzontu pas poświaty zimowej wypływała blada twarz księżyca w pełni, gasły ostatnie podmuchy wiatru i znów cisza wszechmocna, biała cisza śnieżnej zimy północy brała w swe ramiona kraj cały, na tle przeczystego zachodu, gdzieś poza fioletową przestrzenią pól, niby daleka sina wstęga, kładła się do nocnego snu bezkresna puszcza, ciągnąca ku sobie wieczną nicią tęsknoty całe me jestestwo, całą ukrytą pod kulturalną powłoką naturę pierwotnego człowieka.

Zaraz też, nazajutrz po przyjeździe wyruszyłem małemi saneczkami, zaprzęgniętemi w starego siwosza i zagłębiłem się w lasy, zaglądając po drodze do małych puszczańskich wioseczek, gdzie miałem znajomych osadników-myśliwych.

Wzrok mój z ekstazą biegł w górę po odwiecznych pniach starej puszczy, ginącej dołem w błękitnym mroku, ku rozgorzałym w słońcu olbrzymim konarom sosnowym, z zachwytem spoczywał na zagajach brzezinowych, zasnutych różową pajęczyną młodych pędów, muskał w przelocie zielonkawe, lśniące niby atłas pnie osiczyny.

Zaraz po południu zajrzałem do chaty leśnika-gajowego, a nie zastawszy go w domu, pojechałem dalej ku pobliskiej wsi, rozłożonej na obszernem wzgórzu wśród równiny moczarów. Zimowa droga szerokim łukiem biegła przez wykoszony pas błot, obrzeżonym z dwóch stron ścianą karłowatej brzozy i sosny, coraz wyższej, przechodzącej w oddali w szereg suchych, porosłych wysokopiennym lasem wysp.

Z siedziby gajowego przyłączył się do mnie piesek jego, niewielki Pacuś, dobry mój znajomy, i biegł za mną do wsi, w której bywał częstym gościem.

Siedziałem na środku jedynego w niskich saniach siedzenia, a wierna kurkowa trójlufka leżała obok mnie, lejce zaś trzymałem niedbale w lewem ręku, odzianem w futrzaną rękawicę.

A wtem z oddali, z widocznej już na wzgórzu wsi rozległo się szczekanie psa, który widać zauważył zbliżające się sanie, Pacuś zaś, biegnący z tyłu za saniami, odpowiedział nań

wesołem poszczekiwaniem. Przeszło jeszcze parę chwil i raptem Pacuś z podtulonym ogonem, minął mnie, i cisnąc się prawie pod konia, wskoczył znów na ubity tor drogi. Jednocześnie kątem lewego oka dojrzałem ruch jakiś obok i zwracając głowę spotkałem wzrokiem rozpędzoną w pogoni za psem puszystą postać wilka, ze stulonymi w tył uszami, rwącego olbrzymiemi susami w odległości pięciu kroków od sanek.

Błyskawicznym ruchem zrzuciłem luźne rękawice i trzymane w nich lejce, porwałem strzelbę, odwodząc jednocześnie kurek i, robiąc pół



J. Fałat *Wynoszenie niedźwiedzia z ostępu.*

obrotu na siedzeniu, palnąłem z przyrzutu w środek puszystego kłęba, który zwinął się właśnie w miejscu, chcąc uciekać.

Porwał nieco koń po niespodzianym strzale, chwyciłem znów lejce i zatrzymałem sanki, które przez ten czas zdążyły ubiec ze dwadzieścia kroków.

Gdy obejrzałem się wstecz, ujrzałem wilka nieruchomo tkwiącego w miękkim, rozmokłym na słońcu śniegu, dalej zaś o parę kroków drugiego, goniącego co sił i znikającego już pomiędzy pierwszemi drzewkami gęstwiny.

Po półgodzinie wróciłem ze wsi z miejscowym myśliwym, obejrzałem zabitego zwierza, który okazał się piękną rosłą wilczycą o szerokiej czarnej prędze wzdłuż grzbietu oraz niebywale puszystem futrze, i odwiozłem go do gajówki dla zdjęcia skóry.

O pierwszym zmierzchu, gdy tylko stężały na silnym mrozie śnieg utrzymać mógł człowieka, poszedłem obejrzeć po tropach, skąd wilki te tak znienacka na mnie wypadły. Znalazłem dwa legowiska o 300—400 kroków od drogi w małej błotnej gęstwinie świerkowej. Zwierzęta, widać głodne, spały lekko i nie uszło ich uwagi szczekanie psa na drodze. Chcąc skorzystać z łatwego, jak się im zdało, łupu, szły szerokiemi skokami wprost z legowiska na usłyszany głos, a że ja ujechałem przez ten czas kilkadziesiąt kroków, więc dopędzały mię z tyłu, ja zaś nie mogłem usłyszeć szelestu susów w miękkim śniegu, z powodu tupotania konia po twardym szlaku i przeciągłego szmeru ślizgających się sań.

Nazajutrz rano, jadąc dalej, zawitałem do wioseczki Kozłowo, gdzie mieszkał dobry mój znajomy i częsty kompan w dzikich łowach, Spirydon.

Pijąc herbatę w rozległej izbie o niskim, uwędzonym na mahoń suficie, rozmawialiśmy o wszystkiem i niczem. Spirydon opowiadał o jesiennych polowaniach na bielaki i jarząbki, o podjeździe cietrzewi, który można było uprawiać przez pierwsze 2 tygodnie zimy, zanim spadły śniegi tak głębokie, że przejazdu bez drogi nie było.

— Ale wiesz, panoczek, co, — rzekł wreszcie Spirydon. — Toż niedźwiedzia chłopi z „berłogi" wypędzili koło Studzińca zaraz po Nowym Roku. I poszedł on gdzieś przez Maksiucińskie bory, na Toropiecką granicę, a tam znowu słyszał ja, aż z Reczek Borys mnie mówił, że położył się on znowuż na mszarze koło Reczek, tam gdzie mech nie zamarza i przejść nie zawsze można. To oni obchodzili jego wkoło i jakoby śladu precz nie było, ale zaraz śnieg spadł—tak i nie znaleźli.

Wiadomość ta zelektryzowała mnie w jednej chwili. Borysa z Reczek znałem, chociaż wioska ta była o 60 wiorst od nas w głębi puszczy za-

gubiona, i wiedziałem, że stary myśliwiec słów na wiatr puszczać nie lubił.

— No, Spirydon, jedziem do Reczek, będziem niedźwiedzia szukać, — zawołałem.

— Tak cóż, można, — odrzekł, — roboty teraz niema, pojedziem.

W godzinę później wyruszyliśmy. Przejeżdżając tor kolei przy stacji Pustoszka, zakupiłem worek owsa dla swego siwosza i późno w nocy dotarliśmy do Reczek, położonych już w Pskowskiej gubernii.

Stary Borys potwierdził wieści, podane mi przez Spirydona. Trop niedźwiedzia widział sam, prowadził on na mszar leżący wokół Białego Jeziora i stamtąd nie wyszedł. Mszar niezbyt rozległy — 3 wiorsty szerokości na 4 długości, czyli około 1000 dziesięcin, ale mało dostępny w środku zimy, nie zamarzający na licznych oparzeliskach, przedzielających rozsypane wkoło jeziora suche gęstwinowe wysepki.

— Ciapier jaho panicz nie najdziesz,—zakończył swój opis Borys.

Jakaś intuicja radziła mi jednak szczęścia próbować. Miałem nadzieję zwierza spędzić i tropić, aż do miejsca ponownego położenia się. Borys, zaziębiony i kaszlący pozostał w domu, ja zaś z wiernym Spirydonem wyruszyłem nazajutrz rano na Białozierski mech.

Mróz był silniejszy i trzymał cały dzień, tak, że chodzenie było idealne po zmarzniętej powłoce śnieżnej, a narty, proponowane mi przez starego, zupełnie zbyteczne.

Cały dzień, cudowny, bezwietrzny, cichy dzień zeszedł na włóczędze po śnieżnym bezmiarze leśnym, gdzie wybieraliśmy miejsca gęstsze, omijajc otwarty mszar, na którym zwierz nie mógł się zatrzymać. W krótki bądź co bądź dzień zbadaliśmy takim sposobem cały południowy brzeg jeziora i część zachodnich wysepek.

Po ponownym noclegu u Borysa, wyszliśmy na godzinę przed wschodem słońca. Był to dzień 12 lutego starego stylu. Niezrównane piękno tego zimowego świtu, mającego w sobie już coś z barw i uroku wczesnej wiosny, pozostanie mi w pamięci na zawsze.

Dymy z kominów oszronionej wioski biły w ciemny jeszcze błękit zenitu, tkwiąc jak nieruchome słupy w szklanem powietrzu, tak przezroczem i dźwięcznem, jak chyba nigdy o żadnej innej porze dnia i roku.

Daleki trzask drzwi którejś chaty doszedł nas z oddali już w lesie tak, jakbyśmy byli tuż obok, a skrzypienie śniegu gdzieś na ulicy wioskowej słychać było przeszło o kilometr. Wspaniała jutrznia rozpalała się coraz żywszym kolorytem, aż zapłonęły różowem światłem czuby drzew, zaśmiały się śmigające ku górze kolumny sosen, zajaśniały zielonem złotem strzępiaste czuby świerków.

Przeszliśmy w prostym kierunku na jezioro, po jego jednolitej tafli przedostaliśmy się na przeciwległy wschodni brzeg i zagłębiliśmy się w labirynt gęstwin trzcinowych i pokrytych olbrzymiemi świerkami oraz fantastycznymi wykrotami suchych wysepek.

Trafiliśmy na teren o wiele trudniejszy do zorientowania się, niż miejsca gdzieśmy chodzili w dniu poprzednim. Wierne słońce wskazywało wprawdzie ciągle kierunek świata, ale plątanina gęstwin uniemożliwiała określenie, gdzie się już było, a gdzie nie.

Zacząłem tracić nadzieję znalezienia legowiska niedźwiedzia. Południe nadeszło, śnieg w ciepłych promieniach, puszczał już miejscami, utrudniając bardzo chodzenie, gdzieniegdzie też musieliśmy nakładać drogi, by mijać oparzeliska, dymiące przejrzystym oparem. Po krótkim spoczynku poszliśmy znów dalej.

— No, do wieczora pochodzim, i dość będzie tego dobrego, — rzekłem, — wracamy.

— I pewno, — odparł Spirydon, — czort jego tu znajdzie na takim paskudnem błocie.

Nadeszła jednak chwila...

Szliśmy właśnie pomiędzy dwoma wyspami, porosłemi suchym, czystym borem. Bagno nie było gęste, a że zarosłe przeważnie brzeziną i zrzadka sosną, więc widać dość daleko. Słońce, nisko już nawisłe nad horyzontem, miałem nawprost siebie, przeglądające przez czuby świerków na gęstym ostrowie, ku któremu kierowaliśmy swe kroki.

W pewnym momencie spostrzegłem opar nad moczarem przed sobą. Nie widać było mgły właściwej, ani siwego niby dymu, ale w promieniach słońca powietrze wibrowało i falowało, na podobieństwo tego co widzimy na wiosnę lub po deszczu nad parującemi polami, gdzie ruch drgającego powietrza przesłania i zmienia kształt przedmiotów.

Syknąłem na Spirydona, a gdy na mój znak pocichu zbliżył się do mnie, wskazałem mu dziwne zjawisko.

— Tuman od błota — odrzekł mój towarzysz.

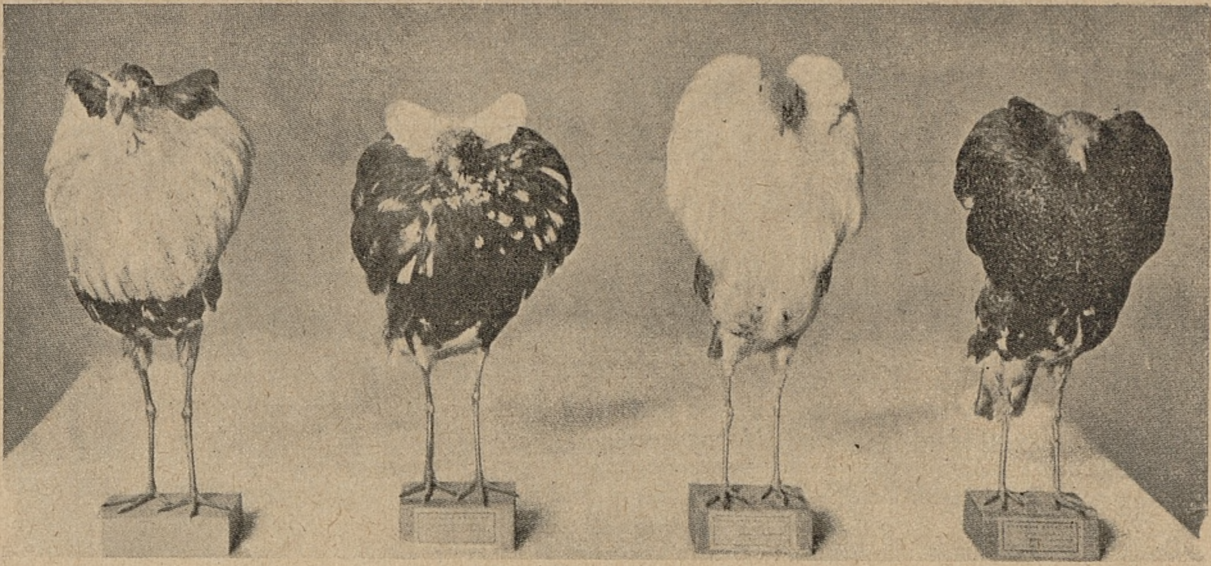
— Nie, — szepnąłem w odpowiedzi — tu nie może być od błota, tu wszędzie zamarzło, ruczaju ani źródeł niema, to zwierz leży i od niego dymi na mrozie. Ot, Spirydon, ty pójdziesz prawą stroną, brzegiem ostrowu, aż do tamtych wysokich świerków, a ja lewą, i stanę naprzeciwko, a ty potem na mnie prosto ruszysz przez tę mgłę.

Tak też zrobiliśmy. Sciszając, wedle możności kroki, wzięliśmy podejrzane miejsce niby w widły. Gdy przypuszczalne miejsce oparu, który teraz nie był widoczny, znalazło się naprzeciwko wskazanych Spirydonowi świerków, zatrzymałem się, a sprawdziwszy raz jeszcze ładunki w trójlufce, odwiodłem kurki i czekałem.

Nie przeszło chyba dziesięciu minut, gdy raptem zabrzmiał przeraźliwy, na wysoką nutę z emocji podjęty krzyk Spirydona:

— Pilnuj! Paszoł! Paszoł!

Tak jak stałem, przypadłem w śnieg za wielką kępe mchu, którą miałem przed sobą, gdyż obawiałem się stać na miejscu stosunkowo otwartem, i zamarłem w oczekiwaniu. Serce, jak młot, waliło w piersi, podchodząc aż do gardła,



Bataliony *Z Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w 1937 r.*

od schylenia i naprężenia szyi w wysokim kołnierzu zielone iskry pryskały przed oczyma...

Jeszcze chwila i wytężony słuch ułowił trzask i szelest śniegu przy prędkim biegu zwierza. Ostre susy zbliżały się coraz bardziej, mijając mię niby, od lewego boku.

Ze strzelbą przy ramieniu podniosłem się nagłym ruchem na równe nogi i w tym samym momencie ujrzałem niedźwiedzia, sadzącego mocnemi susami pomiędzy kępami mszarnemi o 15 kroków ode mnie.

Ostro ruszała się łopatka pod gęstemi kudłami. Zwierz spostrzegł ruch mój, zwrócił łeb i, spłaszczywszy uszy, przyśpieszył jeszcze biegu. Lecz oto muszka oparła się o początek wyciągniętej szyi, huknął strzał i niedźwiedź trafiony na niską łopatkę w chwili ściągnięcia łap, wywrócił młynka, jak zając i tarzać się zaczął, charcząc i wzbijając śnieg uderzeniami łap.

Z palcem na cynglu podszedłem bliżej. Coraz wolniejsze były ruchy dogorywającego zwierza, z otwartego pyska pryskała posoka, czerwieniąc biel śnieżną. Zastygł wreszcie nieruchomo. Nadbiegł Spirydon i przewróciliśmy zdobycz na wznak a potem brzuchem na dół, aby obejrzeć postrzał i futro. Niedźwiedź nie był wielki, a przytem wychudzony przez uprzednią włóczęgę, tak że waga nie przekraczała jakichś 120 kg.

Słońce już zaszło, gdyśmy przywiązali łup do żerdzi brzozowej, wzieliśmy ją na plecy i krok w krok ruszyliśmy z powrotem ku wsi po skamieniałej powierzchni śnieżnej. Ciężka, ale radosna była droga. Późny zmierzch zasnuł świat szafirowym welonem, a tęskny rumiany zachód rzucał fioletowe refleksy na śnieżną taflę jeziora, którą przecinaliśmy na ukos. Coraz więcej srebrnych błysków zapalało się w bezdennej otchłani nieba, jakby jakiś niewidzialny zakrystjan krzesał światło na olbrzymim ołtarzu ciemniejącego kościoła i jedna świeca po drugiej rzucała w ciemnię swe mrugające powitanie.

A potem, gdyśmy już wyszli z puszczy, księżyc wytoczył się nad siniejące za błotami lasy, obcięty już z jednej strony, różowo-żółty i bielał wciąż, pnąc się szybko ku górze, zalewając seledynowem światłem dalekie zwodne cienie nocy.

Po ciężkich dwudniowych trudach, uwieńczonych pięknym rezultatem, wabiła nas rozkosznym odpoczynkiem szeroka ława pod obrazami w kącie chaty, nęcący zapach kapuśniaku łechtał podniebienie, a wysoko nasłane białe poduszki na łożu za zasłoną obiecywały spokój nocny dla zmęczonego ciała.

Włodzimierz Korsak.

REDAKTOR: prof. Józef Gieysztor. **WYDAWCA:** Polski Związek Łowiecki.
KOMITET REDAKCYJNY: zastępca redaktora Zbigniew Kowalski. **CZŁONKOWIE:** Stefan Krzywoszewski, Zbigniew Korolkiewicz, Zdzisław Klawe, Mieczysław Mniszek Tchorznicki, Józef Skrzypek, Andrzej Śliwiński, Teofil Wojeński pułk. Henryk Zapolski, Zbigniew Zabłocki.

Warszawa Nowy Świat 35. tel. 8.25.29.

Druk i klisze – Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 1144. – VII. 48. 30.000. –B-63998

PAŃSTWOWE NIERUCHOMOŚCI ZIEMSKIE

ZARZĄD CENTRALNY

Donosi, że **w sierpniu b. r.** odbędą się w Zarządach Okręgowych PNZ **licytacje dzierżaw obwodów Łowieckich. Dokładny termin** licytacji dla każdego powiatu będzie podany **w pierwszej połowie lipca b. r.** w gazetach wychodzących w miastach wojewódzkich.

Dzierżawcą może być tylko członek Polskiego Związku Łowieckiego, lub zarejestrowane stowarzyszenie łowieckie. Reflektantów obowiązuje vadium w wysokości 50% stawki wywoławczej w gotówce, które należy złożyć w kasie Zarządu Okręgu PNZ do godziny 13-tej, dnia poprzedzającego licytację. Dzierżawy opiewają na 6 lat. Bliższych informacji udzielą Zarządy Okręgowe PNZ.

Następne licytacje odbędą się w lutym 1949 roku.


ŁOWIEC POLSKI
ROK 50-ty